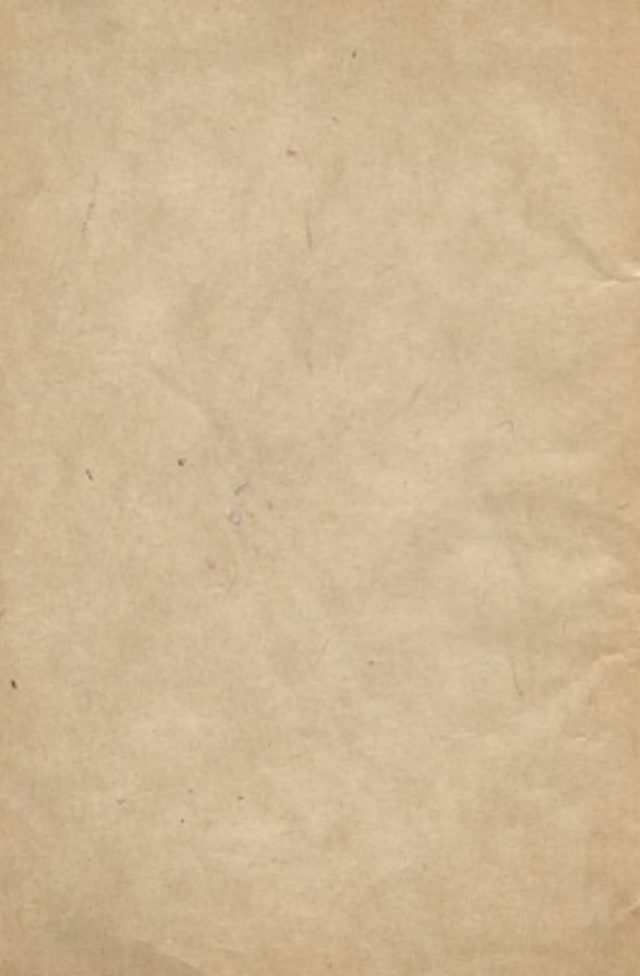








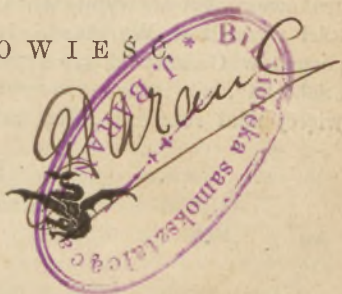


(Biblioteka
Pomarska Nr 200) J: 188
Semeryn Goszczyński.

—•1883•—

ZAMEK KANIEWSKI.

P O W I E Ś C



ALFRED BRUGGER

Księgarnia

SKŁAD NUT I PAPIERU

W TARNOPOLU

Złoczów

Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.

[1886]

130318



Seweryn Goszczyński, poeta, równie-
nik i przyjaciel Bohdana Zaleskiego, urodził się
w Ilińcach na Ukrainie 1803 r., zmarł we Lwo-
wie d. 25. lutego 1876 r. Ze wszystkich utwo-
rów Goszczyńskiego najbardziej zasłynął naj-
wcześniejszy prawie ze wszystkich, jakie napi-
sał: „Zamek kaniowski“. „Zamek kaniowski“
drukowany był w wyjątkach 1827 r., a w ca-
łości wyszedł w Warszawie 1828 r. Z innych
poematów Goszczyńskiego największą wartość ma
„Sobótka“, pomiędzy utworami jego prozą naj-
więcej miał rozgłosu „Król zamczyska“.

Redakcyja
„Biblioteki powszechnej“.

KILKA SŁÓW

o Ukrainie i rzezi humańskiej.

Jeden z celniejszych naszych poetów miał wyrzec o Kaniowskim Zamku: że jest pełen kozackiej haraburdy, i tem go potępił. Nie dziwię się jego zdaniu, wiedząc, że nie zna Ukrainy; ale dziwię się patrząc na jego własne godło: *kto chce zrozumieć poetę, powinien kraj jego poznać*. Powyższy zarzut i tym podobne, spowodowały mię obeznać cokolwiek publiczność z ludem, który dostarczył bohaterów mojej powieści, tudzież z wypadkami, których ona jest ustępem, a przeto zostać zrozumialszym.

Jak charakter człowieka poznajemy z jego czynów, tak charakter narodu maluje się w jego dziejach. Przebiegnę więc w krótkości wiadome życie kozackiego ludu, a rys ziemi, na której mieszka, będzie tłem obrazu.

Zajmę się głównie tak zwaną polską Ukrainą; tą częścią ziemi, którą od wschodu Dniepr oblewa, Boh od zachodu, od północy Wołyń, a od południa chersońskie stepy otaczają.

Powierzchnia kilkudziesięciu mil Ukrainy mieści w sobie najmiłą rozmaitość. Lasy i jary płaszczyzn składających większą część tej prowincyi od strony Bohu; skały nadbrzeżne z granitów, jak okolica Humania, Bohusławia i Korsunia; sosnowe bory, lesiste wzgórza, całe rzeki w bagnach, jak między Mosznami i Smiłą, okazałe gromady wód Bohu, Dniepru, licznych stawów i kilku jezior, zaczynające się morze stepów; jednym słowem: piaski i najżyźniejsze w świecie łąny, najprzejrzystsze wody i bagna niedostępne, wesołe laski i odwieczne puszcze, ciche doliny i olbrzymie wzgórza; bory nieschodzone i stepy nieprzejrzone, zgromadziły się tu, jakoby na pojednawczą przyrody ucztę. Nie dziw, że taką krainę uważam za najpiękniejszą może w dawnej Polsce: nie dziw, że taka ziemia wpłynęła na swoich mieszkańców, i wypiaستowała naród mogący stanąć między najdzielniejszymi. Dosyć słyszeć jego podania, jego dumy historyczne, dosyć obejrzeć pola najeżone mogiłami, aby przystać na moje zdanie.

Za Stefana Batorego postrzegamy pierwszy ślad kozaków. Ognisko ich było przy dnipro-wych porohach, mieszkanie na obronnych wyspach. Zwali się Zaporozcami; a to miejsce Siczą. Wchodzili do ich składu ludzie rozmaitego plemienia, a żyli dziwnym obyczajem. Nie cierpieli u siebie kobiet; polowanie, rybołówstwo, napady wodą

i łądem na pobliskie okolice były ich zabawą i sposobem życia. Przezorny król polski wezwał tych ludzi do swojej służby, zawarował przywileje i nadał kilka miejsc warownych nad Dnieprem, ażeby zasłaniali granice Polski przeciw Moskalom i Tatarom. Za Zygmunta trzeciego słyną po całej Europie, już to pod atamanem Konaszewiczem, już jako Lisowczycy, walczący w Moskwie, a za sprawę rzymskiego cesarza w Niemczech. Za tego też króla nietolerancya księży katolickich i nieludzkość panów dają im po raz pierwszy broń w rękę przeciw Polakom. Za Władysława czwartego wystąpił Chmielnicki, który pod Janem Kaźmierzem zatrząsł potęgą Polski. Kozackie państwo składało się wówczas z dzisiejszych gubernii czernichowskiej, poławskiej i charkowskiej za Dnieprem, na tej stronie Dniepru posiadało terazniejszą gubernię kijowską i część przyległą podolskiej. Hetman Chmielnicki poznał, co z tym ludem zrobić można i łącząc dumne własne zamiary z jego niepodległością, rozpoczął śmiertelną walkę z Polakami. Pokonało go męstwo naszych ojców, ale nie umieli korzystać ze zwycięstwa. Kozacy rozdzielili się na dwoje. Większa część przyjęła opiekę Moskwy, druga przeddnieprzańską została niby przy Polsce. Jeżeli Polacy stracili na tem rozdwojeniu, to prawdziwie kozacy tylko cierpieli. Opieka Moskwy groziła im co chwila zupełną zagładą.

Częste było chwianie się ich hetmanów między Polską a Moskwą: lecz nigdzie dobra nie znaleźli. Nareszcie zjawił się Mazepa. Nadzwyczajny ten człowiek zdolny był utworzyć naród potężny, gdyby kto losy mógł zwalczyć. Używwszy we szwedzkiej wojnie przeciw Piotrowi Pierwszemu jawnie i skrycie wszystkiego, co tylko podstępny i waleczność podały, uległ z Karolem dwunastym szczęściu Cara. Z nim zginęła samoistność kozackiego ludu i wszelkie jego nadzieje. Niektórzy z następców Mazepy widzieli jeszcze zbawienie w Polsce i kusili się ocalić kozaków odstąpieniem od Moskwy, ale jako zdrajcy zostali pochwytani i potraceni. Powoli godność hetmana została czczym tytułem; mniemanemu hetmanowi kazano mieszkać w Petersburgu; nakoniec państwo kozackie podzielono na gubernie, a Siczowych czyli Zaporozców zapędzono w liczbie kilkudziesiąt tysięcy nad brzegi Czarnego Morza, gdzie dotąd stanowią obronną linię przeciw Czerkiesom. Zdaje się, że bunt polskich Ukraińców w r. 1768 był ostatnią konwulsją konającego ciała kozaków. Dzieje tego zdarzenia, jako podstawy mojej powieści, są właściwie głównym przedmiotem niniejszej przemowy.

Było to w początkach panowania Stanisława Augusta. Polskę szarpał nierząd możnej szlachty, intrygi Czartoryskich i zewnętrznych dworów wpływy. Garstka prawych obywateli, czujących

niedoleżność króla, i pewną pod nim zgubę kraju, utworzyła w zbawiennych zamiarach *Barską konfederacyę*. Ocknienie się Polaków zatrwożyło nieprzyjazną im politykę; przedsięwzięto więc wszelkie środki do stłumienia konfederacyi. Nie-nawiść ruskiego popólstwa ku gnębiącym go pa-nom i spólność wiary z pograniczną Moskwą, dzielnie posłużyły do zamiaru przerażenia, a może i wytępienia polskiej szlachty, przynajmniej w ruskich prowincjach, gdzie była największa konfederatów potęga.

W połowie r. 1768 przebył Dniepr w oko-licy Czehryna z kilkunastu towarzyszymi, nie-znany nikomu zaporozki kozak, nazwiskiem Że-leźniak; i zaraz w skutku porozumień się z po-pami ruskimi i pospólstwem odbyło się poświę-cenie nożów, przy nocnym obrzędzie w monaste-rze św. Motry, położonym samotnie wśród gór i lasów nad Taśminą, w powiecie Czehryńskim, o mil dwie od miasteczka Aleksandrówki, idąc na północ *). Niedaleko wspomnionego klasztoru leży wieś Medwedówka, gdzie jarmark następował; było to w święto Makkaweja (Machabeusza). Tłum na taki dzień zebranego pospólstwa sprzy-jał zamiarowi rozpoczęcia buntu. Z wozu tedy,

*) Zdaje się iż nie w jednym miejscu noże poświęcono. Wi-działem starą drewnianą kapliczkę, należącą do jednego monasteru w puszczy Łebedyńskiej, nie daleko miasta Szpoły, gdzie podobną uroczystość odbyto.

śróǳ rynku, pop ruski, przeczytał zmyślony, jak mówią, ukaz Imperatorowej Katarzyny, który obiecując wiele dobrodziejstw ukraińskim chłopom, nakazywał im wyczyszczenie pszenicy z kąkolu, to jest wytępienie szlachty, księży i żydów; przedstawił następnie tenże pop Żeleźniaka, jako mianowanego przez Imperatorowę księcia Smilańskiego i pobłogosławił rozpoczęciu rzezi.

W mgnieniu oka wszystko rzuciło się do spis i nożów, a wkrótce Ukraina cała, jakby czekała tylko hasła, zmieniła się w teatr niesłychanych mordów. Ówczesny stan i położenie wojska polskiego nie mogły przeszkodzić tak nagłemu szerzeniu się buntu, zjawienie się kilku wysłańców Żeleźniaka w najodleglejszych miejscach Ukrainy rozniecało pożar do koła; całe wsie szły na ich wezwanie. Polscy dziedzice nie byli także zdolni oprzeć się pojedynczym usiłowaniom; wszystko chroniło się lub za granicę Ukrainy, lub do Human: a Żeleźniak z okrzykiem: *O! tak Lasze, po Słucz nasze!* *) swobodnie posuwał się ku zachodowi, i bez przeszkody pod Humanem stanął.

Human, dzisiejsze powiatowe miasto w gubernii Kijowskiej, było w owym czasie przeciw niećwiczonemu wojsku miejscem dosyć warownem. Siła jego składała się z niewielu żołnierzy pol-

*) O tak Lachu (Polaku), nasze panowanie po Słucz. Słucz rzeka na Wołyniu, która podług Rusinów ma stanowić na wschodzie granicę udzielnego ruskiego państwa.

skich, kilkudziesięciu pruskich, którzy tam za kupnem koni przybyli i kilkuset nadwornych kozaków Potockiego pod atamanem Gontą, można tu dodać liczne szkoły ks. Bazylianów i mnóstwo okolicznej szlachty zbiegłej do obronnego miasta. Ani wątpić, że z tą siłą zbroją i swoją ludnością byłby się Human obronił, gdyby nie następna okoliczność. Szczęsny Potocki, dziedzic Humania, napisał do Gonty, że mu dwie wsie daruje, jeżeli utrzyma jego kozaków w posłuszeństwie i Human obroni. Ten list szedł przez ręce pewnego Mładanowicza, zawiadującego dobrami Potockich, który go otworzył, przeczytał, a skuszony sposobnością zyskania dwóch wiosek, zataił obietnicę pana przed Gontą, i na siebie wziął całą obronę. Tymczasem Żeleźniak się zbliżał. Przerażenie powszechne podsycane ciągłymi wieściami najwymyślniejszych okrucieństw dręczyło zamkniętych w samym warownym Humanu. Gonta podejmuje się traktowania z Żeleźniakiem i wyjeżdża na przeciw niego o trzy mile, do miasteczka Sokołówki: kozacy nadworni postawieni w polu dla zasłony miasta. Nie długo trwała niepewność zamkniętych w Humanu. Kozacy Żeleźniaka, albo jak ich zowią, hajdamacy, pokazują się od lasku zwanego Greków i stają obozem. Gonta z nimi, a wnet i cały jego oddział przechodzi na stronę hajdamaków. Wtedy dopiero poznał Mładanowicz całą nierozmyślność

swego postępuku i trudność obrony; ujmuje Gontę obietnicami Potockiego. „Już za późno!“ — Gonta odpowiedział. Obsadzono jednak okopy, zwrócono działa nabite ku nieprzyjacielowi; wszyscy z rozpaczy chcą się do ostatniego bronić. Dwa dni przechodzą na nieśmiałych harcach ze strony hajdamaków; gotowe działa trzymają ich w oddaleniu; udają się więc do wybiegu. Gonta posyła do Mładanowicza, aby mu pozwolono wejść do miasta dla rozmówienia się: pomimo oporu innych Mładanowicz zezwala, Gonta przybywa pod bramy, ale w liczniejszym orszaku niż była wymowa; puszkarz chciał dać ognia, Mładanowicz połą od sukni nakrył zapał działa, Gonta wjeżdża a jego towarzysze opanowują natychmiast bramę i pobliskie działa, i ułatwiają szturm do miasta całemu korpusowi Żeleźniaka.

Pierwszy Mładanowicz padł ofiarą niedołężnego swojego głupstwa z rąk Gonty, który, jak sam wtedy powiedział, robi mu tę przysługę dla tego, że był chrzestnym ojcem jego dzieci *)

*) Znałem jeszcze w roku 1830 jedno z tych dzieci chrzestnych Gonty, córkę Mładanowicza. Jej tylko brwi czarne uratowały ją od śmierci, która wtedy całą prawie jej rodzinę zniszczyła. Gonta wziął ją pod swoją opiekę i na trupach rodziców oddał ją za żonę jednemu z kozaków. Wkrótce małżonka powieszono a jego następcą został pułkownik polski Krebs, po którym wdową ją poznałem. Kochana ta od wszystkich kobieta dla przyjemności charakteru, choć w takim wieku, napisała pamiętniki swojego życia; żałować by trzeba, gdyby zaginęły. Są w nich ciekawe szczegóły dotyczące się nie tylko rzezi humanicznej, ale wielu pierwszych domów polskich, między które los ją rzucał.

Śmierć Mładanowicza była hasłem rzezi. Niespodziewany ten napad rzucił taki popłoch, że wszystko prawie o ucieczce tylko myślało. Szczupła liczba broniących się nie zdołała uniknąć smutnej śmierci. Broniono się jednak. Znaczna część schroniła się do kościoła Bazylianów. Do byli go wkrótce kozacy. Rektor klasztoru ksiądz Kostocki miał mszę właśnie i lud wtedy błogosławił; strzał rusznicy z chóru obalił go u ołtarza. Nie było względu na świętość miejsca; nikogo nie oszczędzono. Wkrótce scena mordu ogarnęła całe miasto. Trzy dni rzeź trwała: szesnaście tysięcy osób miało życie utracić rozmaitymi rodzajami śmierci; dziś jeszcze pokazują pod klasztorem Bazylianów miejsce ze studni, gdzie do tysiąca uczniów żywcem wrzucono i zaduszono kamieniami. Po trzech dniach przestrzeń miasta napełniona była we dnie snującymi się jeszcze za rabunkiem mordercami, a w nocy rozległa się wyciem psów i wilków*). Obóz kozaków ciągle był za miastem, gdzie już Gonta dowodził, księciem humańskim obwołany. Żeleźniak zaś z częścią korpusu poszedł dalej i przez Boh się przeprowadził.

Tymczasem wojewoda Stempkowski mianowany regimentarzem z nieokreśloną władzą użycia

*) Cały niemal obraz tych wypadków zamyka się w poemacie pod tytułem: Rzeź Humańska. Napisał go niejaki Darowski, który był wówczas uczniem i całą rzeź przesiedział w kopule farnego kościoła. Szanowny ten dla swojej autentyczności zabytek w rękach bardzo rękopismach krąży po Ukrainie. Czytałem go w takim wieku, że go jeszcze ocenić słusznie nie umiałem.

wszelkich środków, aby stłumić szerzące się niebezpieczeństwo, naciągał w te strony. Z polskiem wojskiem porozumieli się teraz i Moskale na zgubę hajdamaków, nędzny koniec ich zawodu. Pułkownik moskiewski szedł oddzielnie, udając, że im sprzyja, stanął tuż przy nich obozem, i posłał Goncie niby na znak dobrej przyjaźni złoty łańcuch, który miał znaczyć zgotowane mu kajdany, przyczem na wieczerzę go zaprosił. Nie zapomniano i o podwładnych. Wieczerza długa, napoju do woli; nazajutrz ujrzeni się hajdamacy okutymi w kajdany wśród Polaków i Moskali. Wkrótce nastąpiło wymierzenie kary. Była ona dopełnieniem okrucieństw, jakie hajdamacy nad Polakami wywierali. Rozwożono tych nieszczęśliwych w różne miejsca i rozmaicie wymyślanymi sposobami mordowano. Gontę stracono w Humaniu. Podanie twierdzi, że z nadzwyczajną stałością przeniósł wszystkie męczarnie. Darto z niego pasy, ćwiertowano żywcem, zdjęto skórę z głowy, a on cały czas fajkę palił i książkę czytał, póki mu głowy nie ścięto. Żeleźniak umęczony na Pobereżu we wsi Serbach za Tulczynem.

Tak się zakończyło to pamiętne powstanie, hajdamacyczną i kolejewszczyzną między ludem ukraińskim zwane. Z takich to czasów, z takich to ludzi osnułem Kaniowski Zamek; teraz pytam, jaki jego duch być powinien?

Popelnialiśmy nieraz i dotąd jeszcze popełniamy liczne błędy, stąd tylko, że nie znamy swojego kraju. Nie w samej literaturze czuć się to daje.

Zanadto może rozwlokłem przemowę, ale nigdy w chęci bronienia siebie. Zważałem tu głównie na wygodę czytających. Zresztą wiem dobrze, że przemowa i przypisy nie naprawią ładajakiego tekstu. Każdy za siebie.

ZAMEK KANIOWSKI.

Część pierwsza.

1.

Wspaniałe zamku kaniowskiego wieże
Wznoszą się w chmury jak olbrzyma ramię;
A dzielnej ziemi powiewa z nich znamię,
A wielkich granic twarda ich pierś strzeże.
Kaniów po jarach, górach rozpierzchnięty,
Igra, jak dzieci pod piastunki okiem;
Dumne, że płyną pod olbrzyma bokiem,
Poważnie kipią dniewowych wód męty;
A lasy, świeże jak powab nietknięty,
Po górach, dzikich jak rozpaczy czoło,
Rozległe brzegi obsiadły w około.

2.

Wietrzna jesienna zawyła noc zdala.
Warzą się wiry w zamięconem łożu;
Wre chmur kłębami i niebo, jak fala;
Złośliwy obłęd*) igra po rozdrożu.

*) Podług mniemania ukraińskiego ludu, nawet zbłądzenie w podróży nie jest dziełem przypadku. Czart, którego tam wszędzie pełno, ściga wędrowców, i rozmaitymi sposobami stara się ich w bezdroża wprowadzać; a wichur nocny uważanym jest za pierwsze jego narzędzie do obłąkania i najświadoszych nawet położenia miejsc.

Podróżny z cichem szeptaniem pacierza
Mija rozdoły świstające trzcina:
W skrwawionych szponach zgłodniałego zwierza
Dławione bydlę boryka doliną.
Pod szturmem wiatru, co silnie dmie górą,
Słysząc skrzypanie głównej szubienicy:
Trup się kołysze, pies wyje ponuro,
Śmierć snu osiadła w zamku okolicy.
Szablą czasami pobrzekując krzywą,
Szyldwach wisielca, wzdłuż płaskiego wzgórza,
Zwijając wąsy, przechadza się żywo:
To cisza nocy w myślach go ponurza,
To szubienicy skrzypienie ocuci.
A on wzrok błędny to na trupa rzuci,
Niby się jego zatrwożył wskrzeszenia, —
To, jak po śmiałość, kieruje spojrzenia,
Gdzie baszt zamkowych opiekuńcza gwiazda,
Strażniczy ogień czuwa z wierzchu wieży.
Szelest po krzakach. Czy ptak pierzchnął z gniazda?
Coś majaczeje*), coś po drodze bieży.
Tfu! W imię ojca... To tumany dyable.
Po cieniach nocy wszystko się rozsiało.
Kozak opatrzył janczarkę**) i szablę,
I dawną drogą chodził dalej śmiało.

*) Wyraz miejscowy. Słowo „majaczyć“ nie ma może odpowiedniego w czystej polszczyźnie; migać w dalekości, ćmić się, ukazywać, — tłumaczy jakożkolwiek jego znaczenie. Właściwie polskie „majaczyć“ co innego wyraża.

**) „Janczarka“ rodzaj strzelby tureckiej. P. W.

3.

W świetle księżyca, co wyjrzy czasami,
Mignął ktoś bielą, i zgaśł tam we krzaku:
I śpiew dziewiczy przeleciał z wiatrami;
Ten śpiew, znajomy, budzi dreszcz w kozaku.
Alboż to dziwno, że słowa dziewczyny
(Poznać ją można po jej miłej nucie),
W burzliwym sercu syna Ukrainy
Ocknęły nagle burzliwe uczucie:
Oho! już nie ma kozaka u wzgórza.
A księżyc znowu mgłami się zachmurza
I noc mokrymi tumanami bije,
I szubienica skrzypi, i pies wyje,
I po rozdrożu igrają bałwany,
I wichler, z jękiem, dmie w zamkowe ściany.

4.

Luba puszczyka siedzi naperzona.
W szczelinie wieży dawno jęczy ona,
Że miesiąc ściemniał, wiatry na nią wyły,
I na tak długo odleciał jej miły.
Wszakto lot jego usłyszała w górze!
Nie; to dziewczyna przychodzi pod wieżę,
Błądzącą ręką za mury się bierze,
Płatane nogi pośród nocy stawia.
— „Czyś tu, Nebabo?“ z cichutka przemawia.
— „Tu, tu, Orliko!“ szepnął głos przy murze.
— „O jakżem rada, żem wreszcie przy tobie!“
Głośniejsz i śmielej dziewczyna wyrzekła.

„Jakże tu ciemno, jak straszno! jak w grobie.
Chętniebym jednak za każdą zręcznością
I do samego uciekała piekła
Przed tego Lacha obrzydłą miłością.
Jakże tu wietrzno, i straszno, i ciemno!
Ale mnie dobrze, skoro jesteś ze mną!“
Kozak, tymczasem, uchylił swej burki,
I, utuloną, do boku przycisnął;
Bo przykry wichur pośród murów świsnął
I mgliste jęły podnosić się chmurki.

5

Resztę rozmowy utaja milczenie.
A i na wieży miłe posiedzenie,
Gdy zakochane zleca się puszczyki.
Puszczyk pierwszy.
Skąd ci ten pospiech i wesołe krzyki?

Puszczyk drugi.
Patrzaj no, patrzaj, miluchna.
Oczkiem żywym jak blask pruchna;
Patrz-no i śmiej się: bo twe śmiechy miłe
Jak tej matki wrzask przestachu,
Którą niedawno ostrzegałem, z dachu,
Że chory jej pieszczoszek zalegnie mogiłę!
Jak dyabli przy wisielcu snują się orszakiem.
Co oni wyrabiają z tym biednym kozakiem!
Cha, cha, cha!
Ten, zmaczanym snopem trzciny,
Jak na wszystkie strony macha,

Jakie grube mgły rozsiewa;
 A ten obudza wiatry dębiny,
 Jak biega w koło, gałęziami smaga;
 A ów mu pomaga,
 Jak skrzypi szubienicą! aż prawie wrywa.

Puszczyk pierwszy.

Cóż to znaczy?

Puszczyk drugi.

Czekaj! widzisz, pod krzakiem coś białe majaczy.
 To kochanka kozaka, widzieć go przychodzi;
 I kozak wie o niej, lecz go dyabeł zwodzi;
 Co tu kobiecych snuje się postaci,
 Głosów podobnych co tu z każdej strony!
 Patrz! posłyszał ją, ujrzał, bieży rozpędzony
 I z oka traci!

Cha, Cha, Cha!

Puszczyk pierwszy.

Cóż to znaczy?

Puszczyk drugi.

A tam znowu, na górze, patrz! jeździec majaczy:
 Podjeżdża ku szubienicy.
 Szyldwach do rusznicy:
 Krzemień klasnął, proch wybuchnął,
 Dyabeł dmuchnął,
 Wszystko z wiatrem uleciało:
 A przed oczami szyldwacha
 Pożółciało, pociemniało,
 tysiąc jezdnych dokoła majaczy!

Cha, Cha, Cha!

Puszczyk pierwszy.

Cóż to znaczy?

Puszczyk drugi.

Aha! już kozak znalazł dziewicę,

Jeździec pod szubienicę.

Patrz! trup się urwał; patrz, wisi drugi;

Dyabeł skory do posługi.

W jakiej się pysze

Wesoły dyabeł kołysze,

Jak zabawia towarzysze!

Jakie skoki, jakie śmiechy!

Cha-Cha! Chy-Chy!

Puszczyk pierwszy.

Cóż to znaczy?

Puszczyk drugi.

Patrz! jeździec ukradł trupa i pędzi przez błonia,

Aż mgła wstaje z konia;

Już ledwie, ledwie majaczy!

Puszczyk pierwszy.

Cóż to znaczy?

Puszczyk drugi.

Otumanili*) kozaka

Poziera z pod krzaka:

I szubienica stoi, dyabeł się chwieje;

Kozak spokojny, a dyabeł się śmieje!

Puszczyk pierwszy.

Cóż się stanie z wisielcem, jak kogut zapieje?

*) Otumanic: obłąkać, zaćmić zmysły, — coś podobnego. Pro-
wincjonalizm. Przyp. wydawcy.

Puszczyk drugi.

Parą się rozwieje.

Puszczyk pierwszy.

A jak trupa nie znajdzie, co szyldwacha spotka?

Puszczyk drugi.

Zmienić dyabła raczy.

Puszczyk pierwszy.

Cóż to wszystko znaczy?

Puszczyk drugi.

Szatańska pustotka:

Cha, cha, cha!

Szyldwach trupa nie ustrzegł, powieszą szyldwacha.

6.

A tam u dołu jakie słyhać gwary?

To słodkie słowa rozkochanej pary,

— „Cóż on ci prawił, moje ty kochanie,
Kiedym was dzisiaj zeszedł niespodzianie?”

Pytał Nebaba. — „Jego piosnka stara,
Tak, że już teraz i nie zważam na nią:

Jaka szczęśliwa byłaby z nas para,

Jak znakomitą zostałabym panią,

Gdybym zechciała zostać rządcy żoną.

Prawił jak dziecku. Szczególne gadanie!

Jakby mię w koło szanowano, czczono!

Potem dwór jaki, a jakie ubranie!

Że zresztą, w szczęściu nie mogę być takim,

Choćby z najpierwszym złączona kozakiem“.

— „I ty go słuchasz, kochana Orliko!”

Przerwał Nebaba; a nagłe przerwanie
Dosyć odkrywa, jak wzmianka o panie
O serce jego odbija się dziko, —
„Lepiej byłoby nie słuchać, Orliko!
Jednak ty kochasz tylko mnie samego!“
Tak wrzące, nagłe były słowa jego,
Że między nimi dosyć czasu minie,
Nim na odpowiedź zbierze się dziewczynie:
— „Ach! tobyś może mniej uwierzył mowie,
Czy ciebie kocham, niechaj ci to powie!“
I pocałunek płonącej miłości
Złożyła w ogniu na usta zazdrości.
— „Orliko, słuchaj: niech go niebo strzeże,
Kogo postawi piekło między nami!
Jutro, dziś jeszcze!... Widzisz o! te wieże,
Widzisz, Orliko, ten bór za wodami?...
A czyliż darmo i ja noszę szablę?
Jeśli podszepty uwiodą go dyable,
Orliko, słuchaj, i Bóg nie ustrzeże!“
I dla uniesień dzikich przyświadczenia
W dziewicze usta zionął takie żary,
Jakimi drzewo wypala dłoń mary,
Kiedy niewierny przeczy jej zjawienia.
A chociaż ogniem grały jego żyły,
Usta pały i oczy iskrzyły;
Pozór krwi zimnej w głosie swoim chowa,
I te do pierwszych dodał jeszcze słowa:
„Takie jak czujesz nie zgasną upały.
Niechże się teraz dotknie ich zuchwały!

To pieczęć kłątwy na skarbach twej twarzy,
A kto je ruszy, piekło go oparzy!“
Nagle się dziwnie zaśmiały puszczyki:
Pieszczone cieniem, stworzenia te rade
Słyszeć wyroki, co niosą zagładę.
A strach się w sercu obudził Orliki.
I północ w dzwony zegaru uderzy,
I kochankowie poszli, gdzie sen woła.
I wszystko cicho u drzemiącej wieży,
I wszystko cicho pod zamkiem dokoła,
Chyba niekiedy puszczyk zachychocze,
Że syny piekła, do pustot ochocze,
To echo zamku drażnią swym tupotem,
To znowu zęby wyiskrzywszy smocze,
Błądzące ognie udają nad błotem.

7.

Gwiazdo świetna, wesół jak anioł młodości!
Gdy na złotym promieniu wiedziesz z sobą lato,
Jak jej nadzieja, wtedy spoczywasz w ciemności.
Dzisiaj mglistą jesieni osłoniła szatą,
Jakże tęsknie opuszczasz niebo Ukrainy,
Gdzie wszystko jest pięknnością niewinnej dzie-
[wczyny,
Gdzie powietrze, pogodne jak blask jej oblicza,
Czaruje w swych powiewach urokiem jej tchnienia;
Gdzie wody odbijają światło jej spojrzenia;
Gdzie pagórki ponętne jak jej pierś dziewczęca:
Gdzie wietrzyk harmonią pieśni jej powiewa,

Gdzie kwiaty płeć jej mają, a jej świeżość drzewa!
Czemuż, o smutna gwiazdo, w zachodzie jesieni,
Jak konające oko twój się okrąg mieni?
Ponury jest twój zachód i wschód twój ponury,
Kiedy się w chmurę kładziesz, kiedy wstajesz
[z chmury!

Pod rosą, co się dzisiaj promieni tak świetnie,
Jutro, przed ranem jeszcze, ten kwiatek zakrzepnie,
Jak śród zdraczej pieśczoć, piękność uwiedziona.
Ten listek, taki świeży, żalu nie wyszepnie,
Gdy z rodzinnej gałązki wichur go odetnie,
I na wywiedłej braci jeszcze dzisiaj skona!
Żegnam cię więc, o gwiazdo, przed smutnym
[noclegiem:

Jękiem listka, co głucho nie nad ogłuchłym brzegiem;
Wielkim hymnem żórawi, co ciągną ku morzu;
Rykiem trzody, co rzuca jałowe pastwiska;
Głuchym szumem, co stęka w zmartwiałych wód
Konającym promieniem, co z rosy połyska, [łożu;
Gdy raz ostatni drżącą zimny wichur ściska.

8.

Otóż i księżyc z pod światów posady
Jak cień zmarłego słońca, wyszedł blady:
Żyjącym ogniem igra Dniepru fala;
Urwistych brzegów zabielały piaski;
Jak cienie chmurek majączą wkrąg laski,
Lecz z przeciwnego dniewowego brzegu,
Jak nawałnica, gdy się na świat zwala,

Grożąca ciemność czarny bór zalega:

A tylko czasem, między jego cieniem,

A tylko czasem nad jego sklepieniem,

Jak płomyk błędny, światło jakieś błyska,

I jaśniej buchnie łuną*) od ogniska.

9.

Gdy ziemia uśnie, księżyc wartę trzyma,

I nocne wiatry oblatują ciszę,

I sen ciemiezcy czujność ukołysze;

Bezpieczna wtedy, pod jego oczyma,

Ochoczą młodzież radość przywoływa,

Gdzie na nią czeka swoboda szczęśliwa.

Poniżej niasta, ponad brzegiem dołem,

Sędziwe lipy, Dniepru wód strażnice,

Stoją poważnie z płowiejącem czołem:

Tam się na huczne schodzą wieczornice

Rzeczy parobcy i hoże dziewice.

A gdy nad jasnym sinych wód rozlewem

I brzeg zasięda i uwieńczyą wzgórki,

I wiatry Dniepru poślą z cichym śpiewem,

I wnet uderzą w piszczałki, bandurki,

Wierzysz natenczas, że to czarów siła

Zakłątą ucztę w nocy wyprawiała.

10.

Lecz niech piszczałki i bandurki dzwonią,

Niechaj się płocho rozkochani gonia,

*) W dobrej polszczyźnie w Lindem, łuna lub łona. Autor tak zawsze używa tego wyrazu.

Niech ziemia tętni, gdy taniec zakręca
Z lepszej młodzieży uplecione koło,
Niech na ustroniu dziewczę, skryte połą,
Bijącym łonem rozgrzewa młodzieńca.
Tam pod drzewami posiedzenie cichsze.
Tam skłonne serca i kielich godowy
Kupią płci obie na ważne rozmowy;
Tam nieszczęśliwy, znikły we złym wichrze,
Czerwony upiór, co północną chwilą,
Krew sennych dzieci wydaje z odzwierka*);
Widma oczami wartowana tyłą,
Co roś z kwiatów na śmietanę cyrka**);
Jęcząca w górze nie ochrzczona dusza;
Latawiec, gwiazda, co kobiet wysusza,
Litość i trwogę budzą na przemiany.

11.

Cyt! „Ho-hop! ho-hop!“ odgłos smutny, znany,
Smutny, jak odgłos sowy pośród cienia,
Coraz wyraźniej, coraz bliżej woła.
„Topielec Ksenia! ach, topielec Ksenia
Zbliża się do nas!“ wołano do koła.
Razem ustały i tańce i śpiewy:
Ciasnym okręgiem skupiły się dziewy,
Wzrok niespokojny zwrócili parobcy.
W stronę, skąd słyhać głos ten ziemi obcy.

*) Odrzwi.

**) Cyrkać, wyraz miejscowy, znaczy: skrapiać, tryskać.
Przyp. wyd.

„Ho-hop, Nebabo! ho-hop, atamanie“
Blżej i blżej i blżej hukanie.
Aż oto razem i straszycło stanie!
Jakby skrzydłami pijanych szatanów,
Śród takich leci konwulsyjnych tanów,
Postać szkieleta, dzikość ma w spojrzeńin:
Łachmanów strzepy wiszą po odzieniu;
W wywiedle kwiaty, w wypłowiale wstęgi
Utkala gęsto warkocz skołtuniony:
Gwizdnęła, klasła i z wietrznymi kręgi,
Nagle we wszystkie rzuciła się strony,
„Ho-hop, Nebabo! ho-hop, atamanie!“
A jaki w koło strach i pomięszanie!
Gdzie tylko zwróci, gdzie się tylko zbliża,
Jak przed szatanem robią znaki krzyża;
Bo choć dyablica ma postać człowieka,
Jednak od krzyża ze wstrętem ucieka.
I gnać ją trzeba, bo mu nie najlepiej,
Z kim ona blisko, przy kim się uczepi.
„Ho-hop, Nebabo!“ dokoła huknęła,
I jak tu spadła, tak stąd i zniknęła.

12.

Już to zamkowi lękać się potrzeba,
Gdy ją zesłały ciężkie kary nieba.
Dziwna istota! co z pewnego czasu
Ciągłe przebiega miasto, z końca w koniec,
Z hukiem wędrowca, gdy błądzi śród lasu.
Kto wie, czyli to nie zły wróżby goniec?

Bo cera u nich od śmiertelnej bledsza:
Jak myśl rozpaczy, tak się zjawia, znika;
Dziwna jej żywność, jak radość puszczyka;
Głos, jak psa wycie, kiedy trupy zwietrza.
„Niech Bóg odwróci dyabolicę przebrzydłą!
Niech Bóg ustrzeże od niej atamana!“
Przebąkiwała drużyna zmieszana.
Zmieszana jeszcze, choć znikło straszdyło.

13.

Gdzież jest ataman, że w gronie mołojców
Na wieczornicę dotąd nie przybywa?
Gdzie jest ataman? każdy zapytywa.
Ataman: stary w kole starych ojców,
Jak sam pan polski, przed panem tak hardy;
Prędko jak połysk, co biegnie żelazem,
Lecz, w swojej zemście, jak żelazo twardy;
Czczony od swoich zarówno z obrazem:
Duszą jest dziewcząt i wieczornic razem!
Ten czarny wąsik, co w drobnym pierścieniu
Nad różowemi ustami się zwija;
Ten wzrok, co przy brwiach ciemnych tak odbija,
Jak blask południa przy północy cieniu;
Ten kształt postawy, co burką opięty,
Tak się wydaje w wspaniałym pochodzie,
Jak maszt bajdaku*) gdy żagiel rozdęty
Mknie go z wiatrami po dniewowej wodzie.
Szczęśliwa, którą zaczepi uprzejmie;

*) Bajdak: gatunek łodzi, używanej na Dnieprze.

Szczęśliwsza, którą uściskiem obejmie;
Szczęśliwsza jeszcze, najszczęśliwsza w świecie,
Czyją wstążeczkę w seledec*) zaplecie!

14.

Gdzież jest, co robi ataman Nebaba,
Pierwszy z kozaków starosty nadwornych?
Siedzi on, cichy, w ciemnościach wieczornych,
Gdzie wrzawa miasta dolatuje słaba.
Gdzie na dnie jaru, ścian zamkowych spodem
Cicha krynica drzemie pod osiką, —
Tam przyszedł czekać, jeszcze przed zachodem,
Jak się umówił ze swoją Orliką.
Jakkolwiek sercem unosisz się dzikiem,
Wlecz cię miłość piękną rzęsą jedną,
Jednem westchnieniem, jednym ócz promykiem.
Już słońce zaszło, zmierzchłe nieba bledną,
Ziemia ciemnieje, a Orliki nie ma.
A zakochany, w oku, w uchu wszystek,
Tak w okrąg strzela okiem i uszyma,
Czy wiatr przeleci, czy upadnie listek.
Kochane widmo marzy jego dusza!
I wiatr przelata i liść się przerusza,
Orliki jednak jak niema tak niema.
Już po sto razy wzrokiem wypatrzonym
Witał wstające nad wzgórzem obłoki;

*) Kozacy ukraińscy noszą krótko strzyżoną głowę z długim na boku kosmykiem włosów, który zwykli uplatać w wstążki miłosne upominki swych dziewcz.

Już po sto razy rozeznał jej kroki
W blizkiego zamku zgiełku przytłumionym:
I zawsze błądził; aż, błędząc w około,
Nad ciche źródło schylił ciemne czoło.
I tak głęboko myśli w niem zanurzy
Jakby w zwierciedle serca swego burzy.
A tam błękity maluje odbicie,
I obraz jego w odbitym błękiecie,
Jakby go ręka stworzyła malarza.
Łuna tam słońca w zachodzie się mieni;
Obłądnym blaskiem gasnącym płomieni,
Mierzejące nieba gasi, to rozżarza.
A kochankowi tak czas jakoś idzie,
Jakby się patrzył na lubą we wstydzie.
W górze, liść zwiędły nagiej osiczyzny,
Sam na gałęzi posępnie szeleści;
Tak, odumarły od lubej rodziny,
Sędziwy ojciec bez pociech, w boleści,
Podobnie zwiędły, samotny podobnie,
Do grobu dziątek utęsknia żałobnie,
Gęściejszym zmierzchem już się niebo mroczy,
Mroczy się niebo i na dnie przezroczy:
W bledszym zachodzie zorza zaigrała;
I przez gałęzie bezlistnej osiki,
Zadrzały w wodzie żywe jej promyki:
Ach, jakie żywe! to oko Orliki!
Otóż się jawi i postać jej cała:
Widzi jak z góry krok przyspiesza skory;
A od pospiechu lica żywiej płoną,

A od radości częściej bije łono,
A od powiewu, co płacze kędziory
I kraśnie wstęgi po plecach rozwija,
Z cienkiego stroju stan smukły przebija.
Już staje obok, już ją oto ściska:
Aż nagle zorza chowa się w obłoku;
Widmo zniknęło, ciemność na dnie stoku:
I o wiek cały, szczęśliwość tak blizka!
A u kozaka taka myśl ponura
Jakby mu w duszy osiadła ta chmura.
Nie wie, dlaczego: odsunął się w stronę,
Oparł na rękę czoło zamyśłone;
Znowu się rzucił, jakby w nagłym gniewie,
I razem ostygł: czemu wszystko? nie wie,
Bo potem dobył kindżału z za pasa,
Obracał w rękę, igrał z blaskiem jego,
Próbował ostrza, nie wiedzieć dla czego.

15.

„Ho-hop, Nebało!“ dyabeł wichrem hasa.
Nicchże cię smołą rozleje krzyż pański!
I tu ofiarę zwietrzył nos szatański!
Poznał ataman po przelocie ptaszka;
A że mieć z dyablem sprawę, nie igraszka,
Trzeba tu uwieść tę szatańską córkę.
Więc się przeżegnał, obwinał się w burkę,
I przyczajony czekał pod osiką.
Kz się wykrzyczy i dalej pomacha



Lucyferowa opętana swacha*),
W dyabelskim tańcu, z dyabelską muzyką.
„Ho-hop, Nebabo!“ a ona dokoła,
„Ho-hop, Nebabo!“ o ona go woła.
A okiem błyska i martwo i sino;
Tak krople siarki z wolnym ogniem płyną.
Masz pułk szatanów, jeszcze ich miej tyle,
Wytropić jego nie jesteś ty w sile!
Kiedy więc długo hukala, klaskała,
Z hukiem i klaskiem dalej poleciała,
Uniknął przecie strasznego widzenia,
Lecz trwożne serce nie dobrze coś wróży;
Orliki nie ma, a wabiła Ćsenia.
Wszystko nie dobrze, nie czas myśleć dłużej
I utłużej czekać, bo hasłem wiadomem
Z zamkowych ganków trąba się ozwała
I strzał wieczorny zamkowego działa
Zatrząsł Kaniowa okolice gromem.

16.

Czy się spodziewać starosty**) przybycia?
Czyli patrona pana rządcy święto?
Że tak zamkową salę wyprzątnięto.
Stół ustrojono w kosztowne nakrycia,
Jasnym go srebrem suto zastawiono;
A, tak jak wielka, przez stołową salę,
To na zwierciadłach, to w rzniętym kryształe

*) Swatka. Przyp. wyd.

**) Mikołaja Potockiego, dziedzica tych włości. Przyp. wyd.

Jarzące światła rżęsnym blaskiem płoną.
I sam pan rządca, wieczorem, przebrany
W nową czamare, w pas złotem kapiący,
Rozkazał: aby strojono torbany,
By czystą odzież oblekli służący,
Hojną wieczera by zastawić stoły,
Odeprzeć lochy warowne żelazem,
Wytoczyć na dwór kilka beczek razem!
Aby ten wieczór wszystkim był wesoły.

17.

Lecz na cóż tutaj długie tajemnice?
Młoda Orlika już jest rządcy żoną.
Tylko co ślubne światła pogaszono,
I ksiądz zdjął stulę i zamknął kaplicę.
Wszyscy się dziwią nad skrytym powodem
Tak pospiesznego tego rządcy czynu,
Choć dobrze znana jego miłość stała.
Ale Orlika! to to dziw dla gminu!
Co jeszcze dzisiaj przed słońca zachodem,
Niż zostać Polką — umrzećby wołała...

Za godzin kilka, nad samym wieczorem,
Wysławszy służbę surowym rozkazem,
Został się rządca sam z Orliką razem,
I coś poważnym zaczął rozhoworem.
Prędko i przykro wrzasnął głos Orliki,
Jakby nagłego przestrichu wrzask dziki.
Rządca wciąż mówił; dziewczyna milczała,
Ucichł; dziewczyna znowu zaszlochała:

I słyhać było długo, nieprzerwanie,
Mieszane ciągle jej słowa i łkanie,
I wzduż komnaty poważne stąpanie.
I znowu potem groźna rządecy mowa,
Jak huk stłumiony rozległa się wewnątrz:
Prędzej urywał, prędzej chwycił słowa;
I uciekł, jakby odpowiedzi czeka!
A gdy dziewczyna, widząc, ją przewleka,
Uderzył krokiem o podłogę przęszym.
I chciał wyjść pewnie, bo klamka zabrzękła;
A tu Orlika, jak przybita jęła.
Musi być zadość srogiemu zdanu;
Bo wrócił nazad i jak najłagodniej,
Tulił ją długo w ciągłym jej szelehanu,
I z taką dumą, tak rado, wyszedł od niej!
Chłopak, co spieszył na zamek z torhanem,
Tak, koło okien przystrojonej sali,
Ciemno, otwarcie mówił z atamanem;
Mówił, jak wiedział, jak mu nagadali.

18.

Jeśli są słowa, że jak gromu ciosy
Niosą śmierć nagłą w najczerstwiejsze zdrowie:
Czuł je Nebaba w tej chłopaka mowie.
Jak szatan zgrozy, nateża mu włosy:
Jak we mgle żółtej, wzrok jego słupieje:
Niby dłoń śmierci za serce chwyciła,
Taki po ciele zimny pot się leje,
A lodem zda się stygnąć każda żyła.

Usta mu drgają, kolano przyklęka,
Tylko się wierna za nóż chwyta ręka.

19.

Sród gwarów tłumnych, sród blasku powodzi,
Widać po ruchu tych cieni tysiąca,
Które maluje ściana pałająca,
Że już do sali weszli państwo młodzi.
Po skręcie służby, po dźwięku talerzy
Widać, że młodzi siedli do wieczerzy.
A teraz w kolej puszczone puhary;
Bo tak powstałi z miejsca godowniki,
I tak zabrzmiały wiwatne okrzyki,
Aż echem wieków dzwoni zamek stary.
Ucichło trochę; teraz, na przemiany,
Z wesołym śpiewem, słyszać teorbany.

20.

I nad dniewowych sinym wód rozlewem
Igrają wiatry ze dźwiękiem i śpiewem,
W kolejne czarki napój się rozlewa;
Snują się kołem rozpląsane grona,
Aż ziemia z głębi ciężko przybukiwa,
Jak zadyszana poważna matrona.
Ataman spiesz, burką obwinięty,
Jak cień obłoku gnany od wietrzyka;
Minął już ulic spadzistych zakręty,
Teraz, przez tłumy, brzegiem się przemyka,
Ni go bandurki, co brzęczą do skoku,
Ani miłośne dumy zatrzymują;

Z wiatrem u uszu, z ponurością w oku,
Między ciekawą przemyka się zgrają.

21.

Czy to cień jego po rzece żegluje?
Że, mimo częstych, wikłanych obrotów,
Tak nieodstępnie kozaka pilnuje,
Jakby co chwila u brzegu być gotów.
To pianę wirów gwałtowniej roztrąca,
To igra wolniej w odbiciu miesiąca,
To znów spokojnie na falach się wiesza;
W prawy bok, w lewy, wprzód, w tył drogę mięsza,
A pierś się jego nie ozwie piosenką;
Z cicha brzmi wiosło i pluska czółenko.
Z pomiędzy nurtów, co miesiącem świecą,
Tak się w nierównym polocie wydaje,
Jak cień jastrzębia, gdy nad okolicą
Kraży za łupem przez podniebne kraje.

22.

Kozak w pochodzie razem się zatrzyma;
Nadstawi ucho i strzeli oczyma:
Za nim to, za nim, złowrogie klaskanie!
Więc razem w miejscu wstrzyma i stanie
I rzecze z cicha: „Ha! szatańskie plemię,
Raz ty ostatni straszysz żywą ziemię!
Próżno przekłęci piekłem ciebie zbroją,
Skoro do skroni przyłożę pięść moją;
Chociażby wszyscy grozili wleźć we mnie,
Już ja się ciebie nie dotknę daremnie!

Zaraz tu razem i z tobą ulecą;
Tylko chodź bliżej, tylko bliżej nieco!"
Otóż i marsem błysk oczu przymracza,
Szyderskim śmiechem słodzi twarz surową;
A tu tymczasem burkę precz odtacza,
I odwiedzioną trzyma pięść gotową.

23.

Wesele Kseni musi być niemałe,
Że, obleciawszy w okrąg miasto całe,
Znajduje wreszcie, co tak długo szuka;
Wesele Kseni musi być niemałe,
Bo raźniej skacze, bo donośniej huka;
I kłami piekła dłonie larwy klaszczą,
I oczy larwy skrzą się piekła paszczą.
Jakże być wielkie musi jej wesele,
Że bardziej zbliża krok i tak już blizki:
Wszakże mu ona gotuje uściski,
Widać w jej ruchach, widać to w jej oku.
Kozak na wszystko odważa się śmieie;
Nie zmruży powiek, nie cofnie się w kroku.
Już, opętana, w konwulsyjnym rzucie
Ma w jego ustach złożyć ust swych czucie,
Już chwyta szyję dłońmi wywiedłemi,
Już... i omdlała, leży już na ziemi..
Tylko pod pięścią skronie zachrupały,
A na oblicze zdroje krwi buchały.
„Ho hop, szatanie, bierz teraz, co twoje!"
Mruknał ataman i szedł w drogę swoją.

24.

„Tam, tam! gdzie widać ognie pod tą puszczą,
Do niej się kieruj; zawsze, zawsze do niej!
Tylko niech prędzej twoje wiosło goni,
Tylko niech ciszej wody przy nas pluszczą.
Przeprawa trudna, a drogi czas krótki,
Ciszej, a prędzej!“ Tak kozak ostrzega,
Kiedy u brzegu wstępował do łódki,
Kiedy pospiesznie odbijał od brzegu.
Woda dniewprowa poważniej się toczy,
Częstym całunkiem o pierś łódki pluska;
Na niespodzianej, na drżącej przeźroczy
Łamie się księżyc jak ognista łuska.
Za lotnym dębem drobne wiry gonią;
Nadbrzeżne echa dźwiękiem wiosła dzwonią,
Jakby na zbiegłych żeglarzy wołały.
Szybko, na ziemi cofa się brzeg cały:
Głuszej ich wrzawa dolata Kaniowa;
Częściej po jarach światelko się chowa.
Już i szum puszczy zawiał im donośnie.
Cóż to za nimi coraz bardziej rośnie,
Im bardziej z brzegiem umykają góry?
Zamek to rośnie; zna go wzrok ponury,
Co jeszcze z łódki popatrzył ku niemu.

25.

O, jak wspaniały, za nocy zasłona,
Jak rześnem światłem okna jego płoną!
„Niech sobie płoną, niech i rześniej płoną!

Jak mnie dziś, jutro przyjdzie ciemno jemu!
Jutro, pojutrze, zaświta inaczej:
Biedny, kto mojej zapragnął rozpaczy!“
Aż mu się piekłem krew zajęła cała,
Aż mu się czapka od włosów podniosła.
Oó jego dreszczu aż się łódź zachwiała,
Aż się obejrzał rybak, co u wiosła, —
Kiedy te myśli, jak piekła żarzewie,
Przeszły piorunem przez Nebaby głowę,
A to gdy światła obaczył zamkowe.
Już gniew ostyga w kipiącym przelewie:
Ale, jak piekiel mieszkańca zjawienie,
Choć zniknie, długo powietrze zaraża,
Tak, choć przelotne, gniewu uniesienie
Gorzkiem jątrzeniem długo myśl rozżarza.
„Lepiej ci było, moja pani miła,
Sto razy lepiej, jakem ci kochankiem!
Abyś lat tysiąc, czerepianym*) dzbankiem,
Tę wodę z rzeki dla siebie nosiła:
Lepiejby było, dla twej jasnej doli,
W grubej siermiędze, z nieochajnym chłopem
O głodzie, chłodzie, pracując w niewoli,
Krwia się rozplýwać nad nieswoim snopem, —
A potem płakać pod skopcowym daszkiem
Rano i wieczór, że twe białe ciało,
Od mrozu, skwaru, do krwi popadało;
Niż będąc tobą, pobrać się z Laszkiem!
Niż przespać jedną noc pod adamaszkiem!“

*) Glinianym.

Przyp. wyd

Plusnęły o brzeg rozpędzone wały,
Daleko naprzód chyża wbiegła łódka,
Prędko kozaka dumy się przerwały,
Prędko mu przeszła rozkosz zemsty krótka.
Szkoda! bo wiele niosły mu ulżenia
Jęk, rozwaliny, trupy, krew, pożary.
Są to własności jak zemsty, tak chwały,
Że najzgubniejsze, najdziksze marzenia
W cnoty i szczęścia powaby ustroją:
Tak, gdy chcą uwieść kuszące nas maryl,
Światłem aniołów barwią szpetność swoją.

CZEŚĆ DRUGA.

1.

Spał świat głęboko, nocą utulony,
Obchodząc wartą ciemne człeka gniazdo,
W milczącej cześci, szła gwiazda za gwiazdą;
Niebo przez chmurne patrzyło zasłony:
Ucichły hasła, łańcuchy drzymały:
Jak martwe widmo, milczał zamek biały.
I młoda para, w małżeńskie komnacie,
Na łożu pysznem, na snu majestacie,
Spoczęła mile wśród puchów zatopu,
Osłonięgo w drogie adamaszki,
Co fałdowane wśród wiatrów igraszki
Spływały na dół ze złotego stropu.
Ucichło wszystko pod zamku sklepieniem,

Chyba sen tęskny ozwie się westchnieniem,
I wiatr, wysłany od nocy szyldwachem,
Smutnem jej hasłem zawyje pod gmachem.
A potem w okrąg milczenie na nowo;
Tylko łagodnie brzęk miły i głuchy,
Jakim powietrzne igrające duchy
Noc ożywiają, gra w ciszę zamkową.

2.

Któż-to zatętniał, stuknienież to czyje
Dało się słyszeć za drzwiami komnaty?
Nie pierś to lubej żadnem sercem bije,
Lecz goniec puka, od granicznej czaty.
Dyszy pośpiechem, lica trwogą blade.
„Wstań, panie rządcu! ciepłe porzuć łoże:
Złe ci nowiny w tej chwili przywożę;
Wstań i posłuchaj i weź jaką radę.
Oto nadbrzeżne słyszały dziś strażę,
Jak się po Dnieprze pluskały nie kaczki,
Jak coś nie ptakiem tłukło się w czaharze*):
Wyraźnie obóz przeprowadzał się Szwaczki**),
Co aż dotychczas cicho stał za wodą.
Niechże się kokosz wywija przed szkodą,
Kiedy ją oczy jastrzębia obwiodą.
Zamek choć mocny, lecz osada mała,
Aby przed silnym szturmem się ostała,
Zwłaszcza, gdy razem przyjdzie bronić miasta,

*) Czahar: las drzew rozmaitego gatunku. Przyp. wyd.

**) Jest to prawdziwe nazwisko kaniowskiego mieszczanina,
który tamże robił powstanie w r. 1768. Przyp. autora.

Chociaż i w mieście złego coś wyrasta,
Bo już gotują i kosy i noże:
A nawet w zamku kto wie, co być może?
Zaradzić złemu, jak się tylko zjawia,
Leć do starosty: on, wśród Bohusławia,
Poi gromady, rozstrzeliwa baby;
Niechaj tu przyśle posiłek choć słaby.
Leć, nim rozświta, nim się zamek dowie;
A my tu będziemy na wszystko gotowi“.

3.

Nie mylne wieści, nie fałszywe trwogi:
Szwaczki to obóz, nie w dobrym zamiarze,
Pluskał po Dnieprze, tłukł się po czaharze,
Gdzie w ciasnem łożu skróconej odnogi,
Wrzący nurt Rosi i błyska i pluszcze,
A wiatr pobrzeżną oszczekiwa puszcze,
A w niej gwar dziki klekoce ponuro,
A mgła kłębata, co ciemnieje górą
Nad jej sklepieniem, wkrąg się już rozwlekła,
Jakby tam anioł śmierci i zagłady
Ważył dla ziemi nad płomieniem piekła
Wszystkie domowych zaburzeń szkarady.
Nie darmo czujne pałają ogniska,
I jacyś zbrojni leżą u płomieni,
Gdy wieńce borów zrywa wiatr jesieni,
A szron sędziwy na darniach połyska,
Choć leżeć oni zdają się spokojnie,
Ach, krwi to dzieci i myślą o wojnie!

Noże u pasów, ich czoła w kołpakach;
Dłonie na nożach, choć oczy usnięte;
Do pik utkwionych rumaki przypięte,
A dniem i nocą siodła na rumakach.

4.

A jeden kozak na ustawnej straży
Niezgasły ogień czasami rozżarzy,
I na swą pikę wspiera się bezwładnie.
Słucha i patrzy. Nic w tym puszczy mroku
Nie ujdzie jego ni ucha, ni wzroku:
Niech strzępek szronu na uschły liść padnie.
Niechaj ptak kłaśnie gałęzią z daleka,
Niech pies w dalekim futorze*) zaszczeka, —
Już on to schwycił w gwarnym borów szumie,
I pochwycone wnet rozróżnić umie.
! znówu oko zwrócił do ogniska,
I znówu piką poprawił płomienia:
Kłębią się dymy, czerwony żar pryska.
Rośnie wał ognia, noc się zarumienia.
Pośród bijącej krwawej łuną fal,
Jak mgliste duchy, cienie drzew się kładą
Dalej noc czarna; tylko w ciemnej dali,
Jakby zakłętą rozsiany gromadą,
Bezwładny obóz groźnym snem usypia:
Tam się błysk stosu ostrza piki czepia:
Tu wpół dobyty nóż czasem zabłyśka,

*) Futor: zagroda na łące lub pośród lasu w pewnem oddale-
niu od wioski. Przyp. wyd.

Jak rozdrażnionej gadziny oczyska,
Gdzieniegdzie znowu z pod burki kosmatej,
Sen niespokojny wychylił pół twarzy,
I przez sen widać, co każda z nich marzy,
To z brwiów marszczonych, to z wargi wąsatej,
Na tej śmiech dziki, klnące słowa na tej.
A tam, przyjaciel i wierny choć panu
Koń, ułożony tuż pod pana bokiem,
Strzelił niekiedy przebudzonem okiem,
Niby kochanie wśród świata tumanu.
W samej cichości obraz niespokojny
Nadzieją mordów kołysanej wojny.

5.

Tam, gdzie dąb grubszy i stos pełniej płonie,
Dwóch tam usiadło, a przy nich dwa konie.
Po tym wytwornym atamańskim stroju,
Co drogiem złotem czasami odbłyśka
Nagle nierówne spojrzenie ogniska,
Po tej postaci złożonej do boju,
Po wąsie w czarne puszczonej pokręty,
Po dumie czcła, po oblicza krasie, —
Mściwy Nebaba zaraz poznać da się.
W milczeniu siedział, burką wpół opięty;
Spokojnie trzymał lewicę za pasem,
I głównie noża pogłaskiwał czasem.
„Nożu mój, nożu! błyskasz do mnie próżno,
I próżno, widzę, naostrzyłem ciebie;
Inni swój snopek w naszym polu nżna.

Nim pospieszymy z tobą ku potrzebie:
I wprzód rdza ciebie, wprzód ja ciebie strawię,
Niżeli w męskiej z niewiarą przeprawię,
Ducha radością, ciebie krwią opławię!“
Tak mówił kozak, potrząsając głową;
I z nocnej rosy otarł noża ostrze:
Ale wejrzenie nagłe, od słów prostsze,
Wydaje, komu przyciął tą przemową.

6.

Naprzeciw niego, jak odbłask poczwary
W chropawem lustrze, siedział kozak drugi:
Na pierś obroslą zwieszał się wąs długi,
Całe pół twarzy ściągał mu szram czarny;
A chociaż czoło starością bieleło,
Młody rumieniec zalewał twarz całą;
A choć ogniste, ledwo iskrzy oko,
W zatyłej twarzy tak siedzi głęboko.
To Szwaczka. Pierwszy śród mieszczan Kaniowa,
Choć często, w ucztach, kręci mu się głowa,
I ciałem ciężki i wieki długi liczy,
Ale ma piętno rozbojów na Siczy,
Ale od Lachów z dumy obrzydzony,
I dumy Lachów zwie się wrogiem śmiele:
Więc chętnie stanął na powstańców czele,
I atamanem chętnie okrzykniony.
Zdaje się jednak, że (czy brak zapału,
Czy, że kielichem zbytńio się rozgrzewa)
Więcej, niżeli przystoi, spoczywa:

A tu kozactwo zraża się pomału;
Częściej i głośniej słysząc między tłokiem:
„Czemu nie idzie w zamek, co pod bokiem?
Czemu, gdy świeżo z Żeleźniakiem Gonta
Zawieść hulankę uspieli tak rącho, —
On tylko, gnuśny, myślą się zaprzęta,
Złączyć się z nimi? Czemuż się nie łączą?“
I nic nie wiedzieć: korzyść badań zwykła:
Bo przez natrętne naglony pytanie,
Jak zacznie szukać mowy w pełnym dzbanie,
Uśnie wprzód z tajnią, nim język wywikła.

7.

Niewiele tknął się Nebaby żałobą,
Bo już nadpity dzbanek miał przed sobą;
Jak nie swojemi popatrzył oczami,
Poważnym śmiechem kilka razy chrząknął;
Uderzył w ogień, — gdy prysło iskrami;
W pół dosłyszczanym językiem przebąknął:
„Widzisz te iskry, słuchaj, atamanie!
Kto chce szczęśliwym zostać przez kochanie,
Kto zrobić stałem chce serce kobiece,
Niechaj się lepiej zakopie w tej dziczy,
I liczy iskry, te wszystkie niech liczy,
Zapomnij z biesem o twojej Orlice!“
— „Już ja się pewno toi*) nie napiję,
Aby mi serce wyzdrowiało chore:

*) Toja: u botaników tojad mordewnik. Właściwości jego narkotyczne uważa lud pospolity za lekarstwo na smutki. Przyp. wyd.

Ani mi rady potrzebne tu czyje.“
I szydłym gniewem wzrok Nebaby gore.
„Czy jest na świecie Orlika, czy nie ma,
Co nam do tego; dla nas blizka zima;
My puszcz tułacze. Polace przed nami:
Patrzaj na burki, patrz koniom na grzywę, —
Jak twoja głowa, wszystko szronem siwe!
Słuchaj, kozacy jak sieką zębami!
Bo, biedni, nawet nie mają i tego,
Czem ich ataman tak często się grzeje;
I głód ich strawi i wichher zawieje,
I jak po swoich Polacy tu zbiegą.
I sami, z głodu, poczekawszy trochę,
Wleczą w sidełka, jak ptaszyny płochę!
Niż grzać się w zamku, czyż to będzie lepsze,
Płynąć, bez chęci, po pod lodem w Dnieprze?
Albo z gałęzi poglądać w obłoki,
I z każdym wiatrem straszyć w gniazdach sroki?“
A Szwaczka, ognia poprawiwszy piką,
Ode dna fiaszy bełknął głuchym łykiem,
I nie posłusznym zaczął coś językiem.
Oko Nebaby zasępione dziko.
Kiedy się serce zachmurzy urazą,
Wzrok wtedy błyskiem, piorunem żelazo!
I biada chmurze, co chce być przeszkodą.
Popruta, zbita, rozplynie się z wodą.
A ogień gniewu przejął go aż w szpiku!
Szwaczka przemówić na nowo się musiał,
Lecz znowu słowa zaplątał w języku;

Tylko poważnym śmiechem się zakrztusił.
Tu oczy zwolna w powiekach zagasły,
Na obie strony powoli się słania;
Aż razem tułów przewalił opasły.
Że jeszcze żyje, znać z jego chrapania.
Długo Nebaba po cielsku szerokiem
Spojrzeniem wzgardy błędne koła pisał;
Długo szum boru myśl jego kołysał,
Nim w walce uczuć ozwał się wyrokiem:
„Trzech dyabłów synu, przebrzydły opilec!
I tobież dzielną przywodzić młodzieżą?
Chyba mnie sami szatani ubieją,
Że cię tu zęby nie skosztują wilcze,
I w bramy zamku twe pięście uderzą!“
A jakby żądło piekła go ubodło,
Porwał się nagle i skoczył na siodło.

8.

Nie drzymie szyldwach, płomienie ocuca:
A wiatr jesienny gałęzie mu rzuca.
I znów, jak usnął, wśród drzewa umilka.
Gdzieś tam daleko śpiewa kur przed świtem,
Dalej i głuszej słychać wycie wilka,
Bliżej Roś pluska skreconem korytem,
Niby sen cichy jej brzegi kołysze.
Co za świst przykry budzi lasów ciszę?
Jak dziki wichur ocucony w borze,
Takim zakipiał cały obóz gwarem;
Jako gdy wichur zaiskrzy pożarem,

Tak zaiskrzyły w krąg piki i noże;
Kiedy na nagłe pogwizdanie trwogi,
Spłoszony obóz porwał się na nogi.
Jeszcze gwizdanie: w oka mgnieniu po niem
Wszystkie kopyta z miejsca zatętniały,
I ciasnem kołem stanął obóz cały,
Gdzie widmo jeźdźca mgli się karym koniem.

9.

„Co to, Nebabo?“ Zaraz go poznali:
Bo któżby z koniem wydał się wspaniałej?
„Co to za trwoga?“ z obawą spytali.
„Chcę was pożegnać, bo już ruszam dalej.
Niechże to dla was nie będzie niemilem,
Że trwogi nie ma, a ja ją wzbudziłem.
Lecz, jeśli macie i serce i głowę,
To nie będziecie na mą głusi mowę“.
Tu go młódź w węższe otoczyła koło;
Bo się patrzała i słuchała rada:
Jak męstwem dumne rozpromienia czoło,
Jak w szczerej mowie śmiałem sercem gada.
„Nie myślę długo przed wami ja prawić,
Co mię przymusza was, bracia, zostawić“.
Zaczął Nebaba. Wyrosły śród czerni,
Zna jej umysły i wzruszać je umie;
I tak przystało mówić jego dumie:
„Atumanowi swemu bądźcie wierni;
Przy nim tak dobrze można tutaj drzymać!
A ja nie mogę dłużej z wami trzymać,

I ziewać z wami: ja jeszcze skłuć mogę
Choć z kilku Lachów, choć dwór jeden złupić:
Wtedy mi będzie przyjemniej się upić:
To was i żegnam, i ruszam w swą drogę".
Ostra przymówka dopięła zamiaru.
Mruk dobrej wróżby, podobny do gwaru
Pierwszego lodu, gdy go łamią fale,
Obiegać począł zawstydzoną zgraję.
Nebaba ciągnąć mowy nie przestaje:
„Odstąpić Szwaczki ja nie radzę wcale,
Gdy tak wygodnie przy tym atamanie,
Któż ze mną pójdzie, a z nim nie zostanie?
Sam więc pospieszę, gdzie mię niosą oczy,
Żwawszych do dzieła znaleźć towarzyszy;
Jednak co powiem, niech z was każdy słyszy,
I, gdy mu zda się, niech naprzód wyskoczy:
Komu różgami ojciec zasieczony,
Czyja się panu podobiała żona,
Komu najmilsza córka pogwałcona,
Kogo zbawiono lubej narzeczonej,
Na ojca boleść, na smutek matczyny,
Na hańbę dzieci, na łaskę dziewczyny,
Tego zaklinam, wołam po imieniu,
Niechaj wyjedzie i stanie tu przy mnie!"
I tłum orężny mieszać się poczyną,
Jak zakłócona dmuchem wiatru trzcina.
„Kto w pańskim za to umierał więzieniu,
Że jak pies podły o głodzie i zimnie
Dla usług jego przemarnował lata;

Kogo najdroższa boli przez to strata,
Kto chce odemścić te krzywdy, te zbrodnie
I tylko sobie odtąd żyć swobodnie,
Zaklinam tego na zemstę, swobodę,
Niech idzie zaraz, gdzie ja go powiodę!“
Tłum wre nieładem, gwar nieładu rośnie:
Postrzegł Nebaba, jak wybór ochoczy,
W gęstszych szeregach dokoła się tłoczy;
A więc z tryumfem zawołał donośnie:
„Teraz, kto tylko mołojca ma duszę.
Kto się chce ogrzać przy zamku pożarze,
Kto chce oplukać pikę w polskiej jusze,
Kto chce zaśpiewać przy pańskim puharze,
Idźcie do zamku! Ja drogę pokażę!“
A oko jego, jakby bitwy hasło,
Nagle w każdego zabłyszczało oku:
„Wszyscy my, wszyscy do Nebaby boku!“
Wrzące kozactwo dzikim tonem wrzało.
Podobny odgłos wędrowca krew ziębi,
Gdy go wilczyca zwietrzywszy z puszczy głębi,
Przeciągle wyciem ozwie się ponurem,
A za nią głodni zalotnicy chórem.
I razem głębie zastękały ziemi
Pod rumakami ciężko tętniącemi.
I długo, długo wrzało nieprzerwanie,
A coraz ciszej, i koni chrapanie,
I chrzęst oręża, i stękanie ziemi;
A ognie straży konały za nimi,
A echa puszczy wołały za nimi,

Kiedy huknęli piosenkę pochodu
Nowemu wódcy, co harcował z przodu.

10.

Pośród puszczy gęstwy, pośród jarów cieśni,
Mściwy Nebaba swoje szyki wie dzie.
Jak czuł koń jego, że na wszystkich przedzie!
Jak w piersiach jeźdźca rozigrane serce
Dzikiem wojennej wtórowało pieśni!
Kiedy myślami w przyszłość uniesiony,
Pożary w każdej dostrzegał iskierce,
Co błyska za nim, skoro lustro stali
Od miesięcznego oka się zapali;
Kiedy zwyciężkie odgadywał tony
W dzikich odgłosach wojennego pienia!
„Stójcie!“ Od wschodu dzień się zapłomienia.
Księżyc rumiany niby się krwią zboczył,
W posępne chmury, jak do śmierci łoża,
Na cichych ranku wiatrach się zatoczył,
I jak złej wieszczby wyszła drżąca zorza.
„Stójcie! Słów kilka“. Tu zemsty drużyna
Wkrąg atamana zawinęła kołem,
Gdzie się okrągli bezdrzewna równina,
Śród ramion boru i przed boru czołem.
„Baczność! Coś wichrem zaszumiało w lesie,
Jeden to z naszych gęstwian się przerzyna.“
Pilnował skrzydła. Jakież wieści niesie?
Jego pierś robi, jego biegun w pianie.
Między drzew szumem słyszał otrąbienie.

Czyżby Polacy tak blisko być mieli?
„Wytrwałość, dzieci! Bądźcie tylko śmieli,
Naszem to będzie, co mamy przed nami!
Pod samem miastem, ten bajrak*), czy wiecie,
Co się rozrasta pomiędzy jarami?...
Tam do godziny zmierzchu doleżecie.
Ja później będę, skoro do wieczery
Wezwie nas gwiazda, co w zamku na wieży!
No! w imię Trójcy! ruszaj, gdzie kto może!“
Jak w tuman iskier rozdęte płomienie,
Jak spiących nagle przerwane widzenie,
Tak razem zgaśli zwinni jeźdcy w borze:
Tu się w promieni tysiąc rozskoczyli,
Tu między pniami jeszcze majaczyli,
A tu i śladu po żadnym już nie ma;
Niby zaklętych pochłoneły drzewa
Przed śmiertelnego słabemi oczyma!
Pusto, — sam tylko duch boru powiewa.
A za nim nagie klaskają konary;
Pod nimi rumak majaczeje kary;
A za nim jeździec pręży pilne ucho:
Z tej strony trąbka zdaje się grać głucho;
Lecz głuchszy jeszcze słyhać dźwięk z tej strony,
Ranne go wiatry krętym jarem**) wloką.
Jeździec posłuchał, pomyślał głęboko:
Jak mu nie poznać! To kaniowskie dzwony
Szczęśliwą wieszczbą do niego mówiły.

*) Bajrak : las zarosły őród wąwozów. Przyp. wyd.

**) Jaz, wąwóz. Przyp. wyd.

Razem się pomknął w sklepienia milczące,
Wnet drzew sklepienia czczością się zaćmiły:
Jeszcze przez chwilę echa w czczości biły,
Lecz go już teraz nie znajdzie i słońce.

11.

Ponuro echa okoliczne trąca
Zamkowa trąba, wieczór witająca,
Gromadząc zbrojnych na modły wieczorne.
Wielkiem kościoła natury sklepieniem,
Już, już gdzieniegdzie lampy wieków płoną.
Odkryto głowy, bronie opuszczono,
Utkwiono w ziemię spojrzenia pokorne,
Słów uroczystych słuchano z milczeniem.
„Amen!“ I „amen“ powtórzono z skrucą.
Echa zamkowe ozwały się głucho:
„Amen“. Ich „amen“ tak smutny, niemiły,
Jakby go po raz ostatni odbiły.
Zagrzmiał ryk działa i skonał wśród boru.
Na wieży ogień zajął się strażniczy.
Milczący szyldwach ciche kroki liczy.
Po oknach błysły światełka wieczoru.
Mile zamkowa służebna drużyna
Wieczór, niestety, ostatni! zaczyna.
Jak błysk jej światła, ciche jej wesele.
Kiedy zasiądzie każda przy swem dziele,
O, co za rozkosz obejrzyć te grona,
Gdy, za prababek, bawiły się pracą:
Tu gazy blaskiem złota się bogacą,

Jak biała zima, mrozem uiskrzona;
Tam czarodziejka, u krosien schylona,
Tchu nie da słyszeć, nie zwróci spojrzenia,
I trzeba wierzyć, widząc jej oblicze,
Że blask tych oczu, to tchnienie dziewicze,
Cudowną władzą kwiat wiosny rozplenia,
W jej białych rękach drut jasny i gładki
Wydaje w mgnieniu różnowzore siatki,
Niby oń wiatrów i z wiatrów tworzone,
Tak są przejrzyste i lekkie jak one.
A tutaj okrąg głośniejszej roboty:
Tutaj burzliwe furczą kołowroty,
Tutaj wrzecziono ze lnami miękkimi
Brzmieje nieznacznie i gwiżdże po ziemi.
A pienie w prostej, melodyjnej nucie,
Lube, jak pierwsze miłości uczucie,
Ciche, jak łono co nie zna kochania,
Tęskne, jak pamięć rodzinnej zagrody,
Pełne z tem miejscem, z tą godziną zgody,
Sferą harmonii urok ich osłania.

12.

Czy nie po panu zatęskniła pani?
Że między niemi, a nie kwitnie na niej
Ta, co na wszystkich kwitnie w pełni, radość:
Słabość w jej oku, w jej obliczu bladeść.
Jak chmur odbicie z mokrego dna stoku,
Wyziera dusza z poza łez w jej oku.
Cerę, co zgasła, wargę, co pobladła,

Z milczącą skargą, mgła serce osiadła.
Czy się kto kiedy przypatrzył gangrenie?
Jak utajona tłac w serca głębinie,
Na trupiem ciele wyjdzie małą plamą,
Jak coraz szerzej, coraz ciemniej mgleje,
Aż stosu śmierci dymem twarz odzieje.
Z młodej rządczyni smutkami toż samo:
Przez nieme wargi, przez ciemne spojrzenia,
W mgłach coraz grubszych widać jak się wloką;
A choć pierś westchnień, a łez pełne oko,
Jakby walczyły z nimi pierś i oko,
To łez nie puszcza, to więzi westchnienia.
Ach! pierwsza rozkosz tak bardzo nie zmienia!
Nie gasi jagód, nie mrozi spojrzenia,
Żalobą duszy czoła nie ubiera,
Ciężkiem westchnieniem piersi nie zapiera;
Ach! pierwsza rozkosz, w lubego objęciu,
Kiedy kochana i kocha, dziewczęciu
Daje czuć duszę życia anielskiego.
Lecz kiedy słabą żądze gwałtu zbiegą,
I co drugiemu sobie wypieszczono,
W zmierzłej lubości, obca rozkosz skradnie,
Piekło natenczas wciska się tam zdradnie,
I śmierć zapładnia oblubieńcze łono.
Może, nważną pracą zaprzątnięta,
Zapomni smutku: usiadła za krosna,
Może miłosna, może pieśń żaloszna
Posępną dumą utuli natręta,
Jak się utula pieszczoszek wrzaskliwy.

Dobre dziewczęta rozpoczęły śpiewy.
Już na źrenicy łezka zabłysnęła:
Zbiera się, zbiera, toczy i stanęła;
Jakby z pogodą igrać jej niemiło,
Jakby ją zimno smutku zamroziło.
Już dłużej swego ciężaru nie wstrzyma;
Powstała z miejsca, lecz tak martwa cała
I znów stanęła z takiemi oczyma,
Jakby się w izbie obłądu lękała.
Wlecze, mdlejąca, zwolna krok rozchwiany,
I obcym rzutem ciska się do ściany.
U okna przecie nadstawiła ucha:
Niby jej wietrzyk, co przez szyby dmucha,
Niósł od przyjaźni słowa pociech miłe;
Powoli widać w poruszeniach siłę,
Promyk nadziei w spojrzenia światelku,
Tęcza radości mgliła się z jej czoła.
Źle z nagłą zmianą! Pojrzała dokoła,
A wszystko przed nią w rozpacz i zgiełku.

13.

Już po Kaniowie straszna wieść latała:
Jak się wzburzyła Ukraina cała,
Jak zdradą Gonty dobyto Humania,
Ile tam mordów, ile krwi rozlania;
Jak samo Lachów zda się ścigać piekło
A nigdzie schrony przed czernią zacieklą.
Skoro wieczorem powstały tumany
Od nasepionej strony Zaporozża,
I mglistą bielą osłoniła zorza,

Z różgą komety, jak lampa złej doli,
Gasnąć w obłokach zaczęła powoli,
Zdwoił się w mieście przestrach niesłychany:
Głuszej się zdały bełtać Dniepru szumy,
Jęczeć okropniej wichry Ukrainy,
I groźniej ciemnieć sklepienia dębiny.
Jak po cmentarzu, nieme duchów tłumy
Snują się milczkiem po ulicach miasta
Tłumy mieszkańców trwogą omroczone;
A wieszczba klęski, w którą pojrzysz stronę!
Tam dziecię pyta: Skąd ten tuman wzrasta,
I w takie kształty miesza się olbrzymie
Jak Lucyfera wojsko w piekła dymie?
Cytnęła matka; wywróżyć się lęka.
Dwóch się przyjaciół zbiegła oto ręka, —
I zimno śmierci ich uściski ziębi,
Dwojga kochanków spotkało się oko, —
I męty śmierci widać w spojrzeń głębi,
I jęki śmierci z westchnieniem się wloką.
A topielnicy skrwawione widziadło,
W skrwawionej szacie, ze skronią rozpadłą,
Ciągłe Kaniowa przelatuje bruki,
W dziwniejszych ruchach, z dziwniejszymi huki:
Jak co się wyrwał z łona ziemi matki,
Nieprzetoczone unosząc ostatki:
Bo, jak nad trupem, krążą nad nią kruki.

14.

Z rękami w niebo, płakał lud skruszony
Śród poświęconych sklepień Wszechmocnego:

Ściany świątyni wtórzyły płacz jego.
Księża śpiewali pokutnymi tony.
Kaniowskich dzwonnice jęczały wciąż dzwony,
W każdym ołtarzu światła wciąż pały,
Nieocenione słano zewsząd wota,
Z drogich kamieni, ze szczerego złota.
Wielkie ofiary, bo i strach nie mały:
Płakali wierni, płakali niewierni.
Wprzód niżeli noc barwy poczerni,
Dzieci Solimy przed arką bożnicą,
Bez płci różnicy, bez wieku różnicy,
Upadli na twarz, w pogrzebowej bieli,
Jakby od gniewu bożego olśniali,
I, w pyle ziemi czoło ponurzywszy,
Podnieśli głucho lament, żałośliwszy
Niżli go słyszał świata wiek daleki
Na obcych brzegach babilońskiej rzeki.
I łzy Dawida z ich się ócz polały.
Szczere to płacze, bo i strach nie mały!...

15.

Długo zbyt długo, myślom zostawiona,
Stała u okna młoda rządcy żona.
Czy nie zły wichur szeptął ci, Orliko?
Masz w oczach radość, ale radość dziką.
Ciężkieś westchnienie na łono stoczyła:
Jakby w obawie, aby skrytość cała,
Którąś w milczeniu tak długiem warzyła,
Wcześniej przestraszyć świata nie zechciała.

„Ho-ha!“ Bicz klasnął, brzękneły łańcuchy,
Opadły mosty, bruk zagrzemiał, bicz klaska,
Rośnie po zamku, zbliża się grzmot głuchy:
„Ho-ha!“ bicz klasnął, stanęła kolaska.
Raduj się, zamku! rządcą wesół wrócił,
Widać, że drogę prędką jazdą krócił,
Bo z wszystkich koni tak się opar dymi.
Ale z wieściami powrócił dobrei.
Skoro pomówił z kaniowskim starostą,
Wnet wyprawiono dwa oddziały naraz:
Jeden z nich Szwaczkę miał otoczyć zaraz,
A drugi ciągnie do Kaniowa prosto.
„Pan wojewoda z Gontą kończy dzieło;
Wkoło szubienic stawia tysiącami:
Opatrzne oko zeszło już nad nami,
By kres bezbożnej swawoli wytknęło:
Jemu więc do snu, ufnie zdajcie życie
I w łoża wasze wstępujcie spokojnie:
Bo w świetle szczęścia oczy otworzycie;
Zaśniecie z wojną, wstaniecie po wojnie!“
Otóż i nowy goniec, pędem zmierza.
Coraz pomyślniej. Przybiega z oddziału,
Co krążył Szwaczkę u Rosi nadbrzeża:
Bez hasła bitwy, bez jednego strzału
Znikł on z obozem, — jakby wpadł do ziemi;
I tak bez śladu, że nasi, zdumiali,
Już nie wiedzieli gdzie go szukać dalej.
Aż go odkryto między lasy temi:
I wkrótce przyjdzie do rozprawy z nimi.

Lecz męstwu naszych można ufać śmieie,
Że to spotkanie kres położy wojnie.
Więc dzwony, działa niech głoszą wesele!
A zamek z miastem zasypia spokojnie.“

16.

Już w głuchej nocy opóźnioną porą,
Przyćmiona lampa słabo się rozżarza;
Tak po miesiącu, okna różnowzore
Błyszcza w kaplicy pośrodku cmentarza.
Łoże małżeńskie, zapłonione blado
Światłem, co mdlało, buchało, znów mdlało,
Tak się w półcieniach dziko wydawało,
Jakby to łoże, gdzie umarłych kładą.
Po dniowym trudzie małżonek spi mocno:
Zmrużonem okiem po co żona czuje?
Czy jak duch dobry, jego snu pilnuje?
Zegar wybija dwunastą północną.

— „Czego to, gdzie to dzwony uderzyły?“
Porwał się nagle rządcą przebudzony.

— „Zdało się tobie; to zegaru dzwony“.
I oczy rządcy znów się snem zakryły.

Ale poczwara, przeczucie złowrogie
Pod snu zasłony złośliwie się wkrada,
I z bezzasadnych cierpień duszy rada,
Niewieścią w mężu ciągle budzi trwogę.

— „Czego to trąby tak nagle zagrały?“

— „Ach, Pan Bóg z Tobą! świat jak umarł cały,
„To zabrzączała mucha obudzona“.

I znów od zmysłów popłoszone zgiełku,
Cichnące czucia wróciły do łona;
Tak zgraja piskłat, od kani spłoszona,
Tuli się ufnie w matczynem skrzydełku.
Usnął. Rządczyni wciąż mruga powieka:
Jak góra westchnień ciężkie dla niej łono;
I serce rwie się, jakby je męczono,
I pot gwałtownych miotań ją ocieka.
Cóż to tak przykro podrażnia jej oczy!
Czegoż pot mdłości z jej się lica toczy!
Jakaż na pierś jej mogiła się tłoczy?
Czy to nie szatan igra z nią w bezesnie,
By owoc, którym pierś przekłętą płodni,
Wykołysany jej myślami wcześniej,
Stanął dojrzały na skinienie zbrodni?
Jaśniej i jaśniej błyszcząca źrenica,
Razem w powiecie pełno się rozświeca.
Podniosła głowę;... wyżej, jeszcze wyżej.
Zyzem nasamprzód przeszyla śpiącego;
Potem swe oczy do ócz męża zbliży,
I długo, trwożnie, bada ruchów jego:
Ostrożną ręką serca w piersi bada:
Na piersi jedna, skryta druga ręka.
Patrzy na oczy, wstaje i usiada.
Znalazła serce, wstaje i ukleka.
Mignęła w ręku błyszczącym żelazem.
Mąż się obudził i zawołał razem:
„O jakże sny mię strwożyły niemiło!
Jakby się razem w zamku zapaliło,

Taka mniemałem widzieć błyskawicę.
A twoje czego tak błędzą źrenice?
Ciebie zmieszało moje pomieszanie,
Był to sen tylko. Prawda sen niemiły:
Ale te myśli, co mię w dzień klóciły,
Wróciły na noc. Spij już, spij, kochanie“.
A więc usnęli. Biada temu, biada,
Kto nazbyt ufny w trwożną cnotę ludzi,
Przy swoim sercu, w swem łożu układa
Serce zatrute śmiertelną obrazą.
Usnął; a w rękę małżonki żelazo.
Bóg-że wie, kiedy i gdzie się obudzi!

17.

Pono nie we śnie rządcy biły dzwony,
Nie we śnie rządcy trąby grały głośno,
Nie we śnie rządcy płonęły pożary:
Trudno jest poznać wśród nocy zgęszczonej,
Ale nad miastem jakieś dymy rosną
I zasłyszane, wrą tam jakieś gwary.
„Czy zaraz każde ma trwożyć zjawisko?
Milczenie nocy jest nocy kapłanką,
Milczenie nocy jest marzeń kochanką,
W niemem jej łonie próżnych mar siedlisko.
Com wziął za oręż, za tentnienie koni,
Ani to konie, ani błysk oręży.“
Szyldwach zamkowy, gdy oko snem cięży,
Tak sobie myślał, i usnął na bronii.
Lecz zawsze błyska, lecz zawsze coś dzwoni,

Niby blask stali, niby tentent koni:
I coś się wznosi podobne do huku, —
Tutaj przed zamkiem, a tu już po bruku,
Razem zagrzmiało, wrzasło, zabrzęczało:
Zginałeś, zamku! Piekło się zaśmiało!
Bramy rozbite, straż wycięta w chwili;
A hajdamacy w zamek się wtłoczyli
I w tejże chwili, srogość rzezi cała,
Z blaskiem pożaru, wkoło się rozlała
Śród nocnej ciszy: wściekłych wrzasków wrzenie
Tentent konnicy, brzęk брони, dział grzmienie,
Łupanych murów, baszt rąbanych trzaski,
Krwawe maskary widne z każdej strony,
Pożogi wiatrem rozdymane blaski,
Czarny sklep nieba łuną zakrwawiony,
Dzwony kaniowskie jęczące donośnie, —
Wszystko to razem wszczęło się i rośnie:
A głos watażki*) ryczy nieprzerwanie,
Wszakże to nie jest Nebaby wołanie.

18.

Tak drogiej chwili piekło mu zazdrości;
Żart sobie z jego zrobiło wściekłości,
Biesiadę w zamku Szwaczce przeznaczyło.

Już wojsko zbiegłe tentniało daleko,
Gdy mu się oko we śnie wytrzeźwiło
I zabłyszczało pod wążką powieką.
Jakże się ciężko, jak wściekle zadumał,

*) Watażka: herszt. P. w.

Gdy się sam ujrzał na tę puszcę całą!
Dziełem to czarów z początku rozumiał:
Żegnał się, żegnał; — nie nie pomagało,
Teraz jak było poznał rzeczywiście:
I wnet pogonią chciał lecieć za nimi;
Ale mu śladu nie da zwiędłe liście,
Więc się drogami puścił pewniejszemi;
Wprost do Kaniowa. Skrycie tam przybyły,
Dla wrzającej czerni był-to gość zbyt miły.
Bez trudu, krwawe uścił zamysły;
A wiódł rzecz swoją tak skrycie, tak śmieie,
Że skoro zorze północne zabłyśły,
Już go ujrzano na powstańców czele:
I bramy zamku pod szturmem rozprysły!
A tak, i na tych, co go odstępili,
I na Polakach, mści się w jednej chwili.

19.

„Hej, dzieci! dalej, na pańskie komnaty!“
Ryknęły, miedzią, atamańskie płuca,
A jak grzmot działa gradem śmierci rzuca,
Tak czerń rozjadła rzuciła się tłumem,
Z piskiem wściekłości, z główni skrzących szumem,
Na drzwi, na dachy, na ściany, na kraty,
A stare echo zawyło z przestrachu,
Kiedy po całym rozleli się gmachu,
Drzwiami, oknami, wyłomami dachu.
„A teraz, dzieci, na rządcy pokoje!
On, widzę, zamknął przed nami drzwi swoje!“

Ale jak siłą poparli drzwi całą,
Runęły, z dźwiękiem przykrego gwizdnienia, —
Jakby je żywcem wyrwano z korzenia.
Czemuż ten kozak, co wprzód skoczył śmiało,
Jak śmiało skoczył, tak się cofnął z trwogą?
Cóż-to ma znaczyć ta w ciele dyablica?
Ona nie słyszy, nie widzi nikogo:
Takie spokojne jej oko i lica,
Przed nią trup leży w rozrzuconem łożu;
W rękę nóż trzyma, krew pieni po nożu;
A na niej całej skrwawiona koszula.
Ona ją bierze, macza w trupa ranę,
I żmie ją niby i niby wypiera,
Potem martwego pościelą otula,
Wymawia z cicha słowa ucinane,
Zbroczonem płótnem całą się wyciera,
I wolnym krokiem idzie do zwierciadła.
Stała, z lampą w ręce konającą,
Spokojna, — tylko oczy się jej mącą.
Czerń rozjuszona właśnie wtedy wpadła,
Gdy w tej postaci stała u zwierciadła.
I konające potępieńca oczy,
Gdy je śmierć grzeszna pod swe bielmo toczy,
Już obleżone katów piekła zgrają,
Piekielnych krain witane już cieniem, —
Nic groźniejszego widzieć nie zdołają
Przed ostatecznem na wieki zgaśnieniem.
Ta w pół kobieta, w pół grobów maskara,
Z gasnącą lampą w rękach ubroczonych,

Jak gdyby z gwiazdą swych dni policzonych;
Ten kozak za nią, co jak zbrodni kara,
Choć piętnem mordu cechowany cały,
Przecież, niewolnie staje osłupiały
Przed okropnością złoczyńców sumienia;
Ten blask pożaru, skrwawione tło cienia;
A ci mordercy, co w głębokiej dali
Pomiędzy nocą orężem błyskali:
Prawdziwy obraz pieczar potępienia!

20.

„Dalejże, dzieci! a wam co się stało?”
Był to głos Szwaczki świeżo przybyłego,
Gdy pozierano po sobie nieśmiało.
A choć na chwilę stanął i głos jego,
Onby się zaśmiał do dyabła samego.
„Ho, ho! nie wiecie, co to za dyablica,
Nie wiecie tego. — A mój nóż odgadnie.
Patrzcie, jak we krwi skąpał się już ładnie!
A choć tak we krwi, jeszcze się rozświeca!
Stójże mi, widmo! nóż to doświadczony
I poświęcony i dobrze ostrzony.
Rzuć go na wicher, co tańczy po drodze,
A gdzie się kręcił, świeżą krew zobaczysz!
Jeżeli tylko dotrzymać mi raczysz,
W Bogu nadzieja, dobrze cię ugodzę!”
Nóż błysnął, gwizdnął... Po niewieścim jęku,
Po smutnym lampy rozbryźnionej dźwięku,
Głucho i ciemno. Kozacy zdumieli.

Jeszcze krwawego widma nie pojęli,
Kiedy ryk Szwaczki rozległ się olbrzymi:
„Podajcie głównię, co się ot tam dymi!
Zniknęła larwa, to jej ślad te plamki...
Przyświecaj lepiej... bliżej... tu, do klamki...
Znać otwierała... wyszła temi drzwiami.
Już to nie dyabeł, co uciekł przed nami!“
O zmykaj, zmykaj! W zbrodniach tobie równi
Ścigają ciebie przy iskrzącej głównej.
Skopcony ogniem, krwią ofiar ociekły,
Toczy się Szwaczka przed rozjadłą zgrają.
Tu jego usta „łamać drzwi!“ wyrzekły
I tu drzwi nowe z zawias wypadają.
Długo trwać będzie ta igraszka dzika:
Ci dobrze gonia, ta dobrze umyka,
Zbestwiona pogoń drzwi po drzwiach wysadza,
Tu już stracili, tu znów krew ją zdradza,
Skoro o ścianę oprze się jej ręka;
Tu drzwi łupnęły, tu zasuwą brzęka;
Tu biegiem skorszym zbudziła podłogę;
Tu prawie słysząc, jak serce jej bije,
Tu ją dokona przeznaczenie srogie!
Niech tylko drzwi te wyprze ramię czyje:
Już to ostatni przytułek za niemi;
Chybaby szatan schował ją do ziemi!

CZEŚĆ TRZECIA.

1.

Gdzież jesteś, duchu Nebaby?

Zjaw mi się znowu; znowu śpiew ci wnoszę.

Za te nikczemne świeckie powaby

Mieniałem, wietrznik, duszne me rozkosze:

I oto, z wstrętem przesytu,

Obojego tułacz bytu,

Nie wiem, gdzie się dziś obróczę,

Jak mojej pieśni donucę!

Burze serca, burze losów

Ogłuszyły mię na chwilę!

Losy piorunowały tyle;

Obyłem się z grozą ich ciosów.

I serce tyle wichrzyło,

Tak kochało, tak mi biło,

Że już omdlało, czezość, mgłą zostawiło.

W tej czezości, w tem omdleniu

Świat tobie, memu marzeniu!

Jesteś więc ze mną, witam cię, o cieniu!

A z łomu gruzów, wśród morderców gwaru,
Wznosi się szatan falami pożaru.

I w równi trzyma na wadze zniszczenia

Rozkosze zemsty i zbrodni cierpienia;

Dając mi porę, bym w czasie coñnionym

Puścił wzrok wieszczy za jeźdźcem zgubionym;

Otom go znalazł i oto go wiodę

Po zasłużoną jego dzieł nagrodę.

2.

Niepomnych czasów, nieznana mogiła
W cieniach gęstego lasu się ukryła.
Nad boki mszyste, nad jej szczyt okrągły,
Odwiecznym cieniem sklepienia się sprzągły
Ze sklepem dębu, co z sklepów zarodził
Strzelał gałęzią widniej i wyniosłej
Niż wieża Ławry*), złotem błyskająca,
Pośrodku dzwonnicy kijowskich tysiąca.
Starszy brat sławnej puszczy Łebedyna,
Nie jednej puszczy plemię on zaczyna;
Bo burze nieba i czasu wstrząśnienia
Tak się po jego przesuwają szczycie,
Jak tej piastunki, co chce uspić dziecko.
Zmyślane groźby i głaszczące pienia.
Czy spiekle lato piorunami sieje,
Czy płaszcz jesieni mgłami się odyma,
Czy w nagich borach mroźna iskrzy zima,
Korona jego ciągle zielenieje;
Niby mąż wieków w mogile tej leży,
Niby myśl jego, w kształt drzewa odziana
I bohaterską posoką podlana
Piastuje wieniec chwały zawsze świeży.

3.

Nebaba senny pod nim odpoczywa:
Wpół zwiędły trawnik jest kobiercem łóżka,

*) Ławry peczerskiej, klasztoru przy pieczarach, czyli grobach wielu świętych i błogosławionych w Kijowie. Przyp. wyd.

Namiot z gałęzi, — ze mchu pnia poduszka:
Przykry świst puszczy piosenkę mu śpiewa.
A kozackiego wartownik posłania,
Koń tylko wrony trzęzłami podzwania.

Po miejscu wspomnień, po męża postawie,
Możnaby myśleć, że duch bohatera,
O którym marzy ukraińska lira,
Tu, w pełni życia, zmartwychwstał na jawie.

Ale śpiącego zajrząc wspaniałości,
Snu atamana niech nikt nie zazdrości.
Wejrzyj na lica: w ich się ruchu kreśli
Cała męczarnia skrępowanych myśli.
Zdawało mu się widzieć ogień z wieży:
Dosiada konia, — zebrać swój szyk bieży:
Ale na miejscu kozaków obozu,
Spotyka stado wilków wśród wąwozu!
Wtem głos Orliki jakby gdzieś za górą...
Spiesz ku niemu: światło, co błyszczało...
To Ksenia w oczy patrzy mu ponuro;
I kruków kilka w uszy zakrakało.
Zlał go pot rzęsny; wymknąć się im sili,
Aż on harcuje na żelaznym pręcie...
Tu go przestrachu ocknęło wstrząśnięcie.
Lecz cóż spostrzega w przebudzenia chwili?

4.

Człowiek spokojnie siedział sobie z boku:
Z brody sędziwej lata widać mnogie,
A że nie widzi, z zapadłego wzroku.

Trzymał na nodze założoną nogę:
Na niej wsparł lirę i tonów próbował,
Niby przypomnieć piosnkę usiłował.
Kamrat Nebabie niebardzo przyjemny.
Więc z góry krzyknie, ku starcowi skoczy:
— „Dziadu! kto jesteś? co robisz w tym borze?“
Zwolna, drwiąc nawet, dopowiedział ciemny:
— „Jak mowa groźna, taka twarz być może:
Dziękuję Bogu, że mi wydarł oczy“.
I znów spokojnie wziął się do brząkania,
Jakby wszystkiego zbył się odpowiedzią.
— „Nikt żartem nie zbył mojego pytania!
Czort cię tu przyniósł, ale nie wyniesie!
Starcze, kto jesteś? co robisz w tym lesie?“
I siłą starca pochwycił niedźwiedzią.“
Ale w krwi zimnej lirnik jednakowy:
— „Puść! strunę urwiesz, a nie kupisz nowej,
Gdym już tak bardzo nieprzyjemny tobie,
Ty widzisz dobrze, jam ślepy na obie:
To zamiast gniewów i tego hałasu
Na trakt ubity wyprowadź mię z lasu,
Albo mię przeproś, daj grosz jaki w rękę,
A na dobranoc usłyszysz piosenkę“.
„Dyabeł, nie ślepiec; w miejscu odpowiedzi,
Niezlękły groźbą jak z kamienia siedzi“
Pomyślał kozak, skrycie się uśmiechnie,
Bo już i gniewu uniesienie cichnie.
„Czemuż to, ślepcze, nie masz przewodnika?“
Już łagodniejszym zapytał się głosem.

Dziad się uśmiechnął. — „Hm!“ mruknął pod nosem:
U mnie to kostur, co u kogo pika.
W słotę, w pogodę, czy to dniem, czy nocą,
Całą Ruś przejdę za jego pomocą.
A od Kaniowa aż do samej Smiły
Wszystkie pod ręką poznam ci mogiły;
Pień tobie każdy poznam nad mą drogą,
Każdą murawkę, co nastąpię nogą.
Ale kiedym się odbił od kamratów,
I tutaj blisko smacznie odpoczywał,
Ktoś mi dziadowskich pozazdrościł gratów
I skradł kostura. Prawda, był okuty,
Stanie za szablę. Czyś się już przegniewał?
Długi gniew grzechem. No będę ci śpiewał
Na zgodę: tylko daj mi dwie minuty,
Że sobie lirę do głosu nastroję.
O! wszędzie, wszędzie lubią pieśni moje.“
Nebaba ani zezwala ni wzbrania,
Więc lirnik zaczął po chwili brząkania.

5.

„Wyłyn, wyłyn z za obłoku!“
I nagle urwał w samym pieśni toku.
„Trzeba, bym wprzód rzecz powiedział całą.
Historya długa, siądź tu, rzuć ratyszczę:*)
Długa, lecz pewnie twą pochwałę zyszcze.
Gdzie się to działo i z kim się to działo,
Trudno jest wiedzieć — niekoniecznie wreszcie.

*) Ratyszczę : spisa, włócznia. Przyp. wyd.

Może i nie chcesz. Dość, we wsi, czy w mieście,
Była dziewczyna z niespełnym rozumem.
Dawno chodziły wieści między tłumem:
Że nad jeziorem, w zarosłej ustroni,
Kiedy się wszyscy w chatach spać pokładą,
A noc na niebie błysnie gwiazd gromadą,
Jasny latawiec spływa ogniem do niej.
Wszyscy to pletli, wszystkich to bolało,
Że o tym cudzie wiedzieli tak mało.
Ale z szatanem niebezpieczna sprawa.
A był tam chłopiec, sztuczka śmiała, żwawa.
Brząknąć w bandurkę, przylgnąć do dziewczyny,
Wywinąć tańca, coś splatać, — jedyny.
Jak się rozszalał z drugimi chłopaki,
Przyrzekł, że dyabła na schadzce dostrzeże;
I dostrzegł. Czegoż nie dokaże taki?
Každy to przyznał i ja temu wierzę.
Bo obłąkana drugiego wieczora,
Zamiast miłego czekać u jeziora,
Duszą i ciałem chłopaka się trzyma.
Aż niezabawem i łono się wzdyma...
I gdy już o tem pełne kumów uszy,
Ktoś wyjął z wody dziewczynę bez duszy:
Po żwawym chłopcu ni śladu, ni słyhu.
Różnie to różni gadali pocichu;
Choć najpewniejsza utwierdza pogłoska,
Że ot w tem wszystkim moc była czartowska!
Dyablich miłostek mieszać nie wypada.
Ksenia... Ten język zawsze się wygada!

Szalona, żyje. Ale choć jak wprzód,
Błądzi pomiędzy i lasy i wody,
I na noc całą przed gwiazdami siada, —
Nikt jej nie śledzi, nikt jej tam nie bada:
Bo niechaj z nami zostanie duch święty,
W ciało niebogi wsadził się bezpięty.
Ale dojrzano kwitnące paprocie,
To i jej pieśni słyszano w ciemnocie.
Będę ci spiewał, jakem nauczony.“
I nucił w liry uderzając strony:

„Wypłyn, wypłyn z za obłoku,
Po błękitnem przeleć niebie!
Ja kochanka wzywam ciebie!
W lasów ciszy, w nocy mroku.
Ho-hop, ho-hop! wzywam ciebie!

„Głucha ciemność wioskę kryje:
Zgaś kaganek w oknie chatki,
Sen zakleił oczy matki;
Moje serce bije, bije,
Do twojego serca bije!

„O północnej wyszłam porze,
Na burzliwą nie dbam porę:
Skoro mi blask luby gore,
Niechaj zgasną wszystkie zorze!
Całą noc przesiedzę w borze!

„Kiedy promień twych warkoczy
Spłynie na obłoki sinie,

Ziemia złotym dniem opłynie;
A mnie dusza, a mnie oczy,
A mnie serce szczęściem spłynie!

„Ho-hop, ho-hop!... ja kochanka,
W lasów ciszy, w nocy mroku,
Radam do samego ranka
Wywoływać cię z obłoku.
Ho-hop! spłyn do mego boku!

„Wkońcu najpiękniej; chcesz, to ci powtórzę:
Ho-hop. ho-hop!...“

I musiał stanąć. Z ócz Nebaby błysku
Dawno już widać, co tam w myśli chmurze
I gromowego jak blisko pocisku.
Zdaje się brakło ruszenia lub słowa.
Szczęśliwa dotąd, widać stara głowa.
Ale w tej chwili chwycił go za ramię,
Że mu jak szatan musiał wypiec znamię:
— „Jak mi raz jeszcze to „ho-hop“ zawyjesz...
Słuchaj, przekłety! czy już nadto żyjesz?“
Nie mógł dokończyć, bo rzenie wronego
Wezwało naglej obecności jego:
Skoczył od starca, błysnął w rękę piką,
I prędzej gęstwą przemykał się dziką.

6.

A koń jak wryty, stanął niespokojny:
To wzrok zaiskrzy i nozdrze rozszerzy,
To znowu zarży, kopytem uderzy,

Jakby go tchnienie obwiewało wojny.
Nic tu nie widać, nie słysząc nikogo;
Chyba się listek odezwie pod nogą.
„Lecz karosz jeszcze nie trwożył mię próżno:
Nieostrożnego i Bóg nieuchował;
Złe się przechodzi pod postacią różną...“
I do lirnika myśli swe skierował:
„Trzeba go zbadać, podobno to zdrada,
Bo choć się dziadem i ślepym powiada,
To drwiącym śmiechem wykrzywione usta,
Jeśli nie dyabła, zdradzają oszusta.
Ten głos donośny, sama broda biała,
Ślepotą nawet coś mi się nie zdała.
Patrz, jak usłuchał! a przecież mu wzbronił!
Jakby we dzwony, swoje „hop“ zadzwonił!
Trza go nauczyć, choć to siwa głowa!
Niech dla weselszych swoje żarty chowa!“

7.

Już kozak drogi do drzewa miał mało,
Kiedy w gęstwinie jeszcze się zaśmiało.
Teraz bezpieczniej szukaj go z latarnią!
Dokoła pusto: wszystko się sciszyło:
Jakby lirnika ni liry nie było
I kwiat, gdzie siedział, wstał już między darnią.
Stał Ukrainiec i w długim podziwie
Po razy kilka nabożnie się zęgnął:
Jeśli to szatan, żeby go krzyż przegnał;
Jeśli szpieg, w starca przebrany kłamliwie,

Żeby mógł znowu dostać go do rąku...
Lecz gdzie go śledzić, że tak w koło głucho!
Ukląkł, przyłożył do mogiły ucho:
Tentnienie konia słysząc w ziemi stępu.
Ha! myśl szczęśliwa kręci się po głowie:
Oko najlepiej z tego dębu powie.
Wstał; ale jeszcze uchem wiatru schwytał,
Raz jeszcze okiem gęstwiny zapytał —
I pod mszystemi zniknął gałęziami.
Tu pika błyszczy, kołpak czerwienieje,
A tu po dębie coraz bliżej wierzchu
Gdzieniegdzie gałąź szeleśnie czasami; —
Aż oto razem postać zajaśnieje,
Gdzie sam szczyt drzewa tonie w ognjach zmierzchu.

8.

Darmo Nebaba wodzi orlim wzrokiem
Nad różnolistnym gęstych puszczy obłokiem,
Darmo okraża po polu szerokiem,
Zawsze w pustynie czczości wzrok zapada:
Ani kurzawy po drożynie dziada.
Jak tylko zajrzeć, wokoło tumany,
Snują się jary, wstają w piątrach wzgórza;
Śród nich gdzieniegdzie lasek się zachmurza;
Błyszczy dnia resztą dach zamku blaszany;
Błyszczy na prawo Dniepr dołem rozlany.
W błędnej z tysiącznych węzłów płataninie
Licznie się drogi na lewo rozbiegły;
To skrętym wężem pełzną po wyżynie,

To się jak wstęga snują po równinie,
To w paszczach jaru giną niespodzianie, —
Aż razem znikną w dalekim tumanie.

Tak tu wyraźny ten widok rozległy,
Że zliczysz wszystkie przydrożne figury;
A oczy lepsze dostrzedz nawet mogą:
Gdzie jaki żebrak ciągnie którą drogą,
Gdzie koło błyska pośród pyłu chmury,
A dnia ostatkiem zachód pozłożony,
Pocieniowany lotnymi obłoki,
Jest jak zwierciadło tej ponętnej strony,
Z każdym jej cieniem, z wszystkimi uroki!

9.

Kogo ten widok, kogo nie zachwyci?
Kiedy nad otchłań pognębienia wzbici,
Krażymy po niej spojrzeniem wpół-bożem,
A bliżsi nieba, czuć wyraźniej możemy,
Żeśmy na samem dwóch sfer pograniczu,
W swojej kolebki, w ojczyzny obliczu.
Weselsza dusza żywiej tu promieni,
Jaśniej tu czyta w literach z płomieni,
Któremi Wieczny, w tle chaosu cieni,
Do swej potęgi dziedzictwa ją wpisał;
Z przed tronu Boga głośniejsze tu dolata
Śpiew, co ją w łonie wieczności kołysał;
Głuszej tu jęczy płacz niskiego świata;
Na dół, do ziemi, smutku kwef ponury,
Na dół westchnienie, co zawichrza duszą.

Łzy sercu ciężkie na dół tu ciec muszą; —
Jak nawałnice i deszcze i chmury.
Płyną do ziemi od niebieskiej góry.

10.

Co to Nebaba tak myśli głęboko,
Między gałęzmi oparty bez ruchu?
Czem tak zasunął rozigrane oko?
Czy dąb, gaduła, szepce w jego ucho
Smutne powieści o klęskach tej ziemi,
Gdy pod jej niebem sęp mordę ponury
Toczył cień trwogi skrzydłami krwawemi,
A z nim Tatarów napływały chmury?
O, nieraz może, na tym jego szczycie
Rozwiewały się przestrogi znamiona;
Nie jedno może ta z liści zasłona
Przed srogą śmiercią uchowała życie.

Nie; w zadumaniu cichem i głębokiem
Puścił się kozak swoich dni potokiem.
Po jego myślach młody wiek przegania
W kwitnących barwach świetnego zarania.
Co za świat w ciszy rodzinnego sioła!
Gdy dusza grała ogniami jutrzeńki,
A wabna przyszłość, jak wróżka wesoła,
W kolej nadziei uchylała wdzięki.
Jak wszystko pełne, jak tam wszędzie miło:
Jak dzień, skąpany w jeziorze rodzinnem,
Cicho, ponętne, w marzeniach świeciło,
Przeszłość i przyszłość, szczęście i niedole;

Życie, — koń wrzący; świat, — kwieciste pole!
Wzburzenia duszy, cierpkie serca bole,
Wszystko się topi w uśmiechu dziecinnym:
Łzę utrapienia łza rozkoszy strąca;
I struna, w tony rozliczne bijąca,
Leniwiej smutne wesółymi zmienia,
Jak jego umysł swoje poruszenia.
Albo ten wieczór, ten ogień kupały!*)
Po zwierciadlanej Biełozyrja wodzie,
Mkną się rybackie z kagankami łodzie.
Niebo ciemniało, szyki gwiazd gęstniały,
Błękitna fala sypała kryształ, —
Szum sosen mruczał piosenkę żeglugi,
Muzyczną miarą uderzały wiosła.
Cyt! płomieniami rozgorzał brzeg drugi
I wrzawa dziewic zewsząd się podniosła.
We mgnieniu oka ucichli żeglarze,
Złożyli wiosła: czółna w okrąg płyną;
Już w oczeretach**) syknęły gadziną.
A brzegi kipią w piosenkach i gwarze;
A tanecznice migającym cieniem
Snują się ciągle przed wielkim płomieniem.
Wtem zaczajona młodź nagle wypada.
Nebaba huknęła: Zdrada, siostry, zdrada!
Już po bałwanie! Z wianków oberwany,
Złamany leży, skończyły się tany,
Ucięto śpiewy, a mściwe dziewczęta

*) Polskie sobótki. Przyp. wyd.

**) Oczeret, trzcina. Przyp. wyd.

Całusem karzą śmiałego natręta.
A też pustoty!... Gdy wszyscy usnęli,
Widmo kobiety wysnuło się w bieli...

Dziką piosenką serce zaśpiewało,
Blask obłąkania strzelił ze źrenicy:
Kozak na chwilę zniżył skroń ściemniałą,
Jakby chciał przetrwać, aż ucichną pieśni,
Aż mu natrętne widziadło się prześni.
Czyż taka pamięć pieszczot, miłośnicy?
Darmo nie ścieraj z czoła mgłę natrętą,
Nie stawiaj myśli na spojrzenia warcie;
Raz jeden zbrodni wyciśnione piętno,
Jak blask fosforu, czyści się przez tarcie.
Choć w całun duszy twe się oko wprządło,
Zawsze nieczystych miga się w niem żądło.

11.

Inny Nebaba, bo z inną już duszą,
Pomiędzy borów majaczeje głuszą:
Grom namiętności mgłę spojrzeń rozświeca,
Szyderski uśmiech kazi hoże lica,
Wszystko kipiące, od serca począwszy,
Aż do rumaka, co go gdzie chce niesie;
Jak w duszy jego, posępno w tym lesie;
Jak żądze jego, kraj tu coraz nowszy.
Z piąter na piątra, z gór na góry drze się;
Za każdym krokiem rosną w nim tęsknice,
Im lasy głuchsze, wyższe okolice,
Aż oto nowa zajaśniała chwila,

I cienie troski ciągle mu umila,
Jak noc wieczności zorza zmartwychwstania.
Cóżto za dziwna strona się odsłania?
Tu, pod nogami, na równi poziomej:
Moszen, spojrzeniem policzone, domy,
Irdyń drzemiący w spleśniałej głębinie,
Wieczrie z wiatrami sporne oczerety;
Jak rozsypane zielone bukiety,
Drzewa i sady i gaje w dolinie.
Tam błyskający jasnemi zwierciadły,
Tu w gardła jaru, jak w otchłań zapadły,
Dniepr tutaj całkiem skrył się w bór ponury,
A tu się znowu wylał z bioder góry.
Dalej piaszczyste pozłoczone morze;
Dalej bór spływa po piaszczystym szczycie,
Podobny strzępnej narodowca kicie.
A jeszcze dalej i dalej i bliżej,
Góra po górze, bór idzie po borze;
Tysiącem węzłów, tysiącami krzyży,
Płaczą się, mącą, rozchodzą, zbiegają,
Niepoliczoną, nieobjętą zgrają,
Wioski i grody, pustynie i laski,
Jary i góry i łąki i piaski.
A coraz dalej stepy piasku bledsze,
A coraz dalej lasy błękitnawsze,
A coraz dalej dymniejsze powietrze,
I nieba niższe — a mgły, a mgły zawsze.
Ileż swobody, uniesień rozwinie
Jeden tu widok, w jednej tu godzinie!

Gdzie ten wiatr wieje, gdzie ten obłok dąży,
Co tam za strony! gdzie w tumany sinie,
Wiecznie drzemiące, fala Dniepru płynie?

Orzeł niech powie, co pod niebem krąży;
On wyżej buja i jego źrenice
Wyraźniej widzą tamtą okolicę; .
O Zaporozu niechaj on opowie:
Jak tam rezlegle panują koszowi;
Jakie tam wieczne hulanki i wola;
To samo słońce jak tam rozpromienia
Porozsiewane gwarne ich kurzenia.*)
A tabun pędzi ze rzeniem na pola,
A Zaporozec na swobodnym koniu,
Jak jego myśli, uganiania po błoniach:
Jak wicher stepu, jego pieśń tak dzika.
A tam po Dnieprze łódka się przemyka,
Lekka i chybka i szybka jak fala
Leci za nurtem po szklanej równinie:
Wpadła na poroh; ze skał się przewala;
Zapadła w głębię... przepadła... aż zdala
Pęka wód kryształ, łódź jak łabędź płynie.
„Przeszło, co było! i co będzie, minie!”
Ockniony z myśli ataman zawoła,
„A co być musi, niechaj się już staje!
Kozacy tęsknią i ogień goreje!”
Spuścił się z dębu na skrzydłach sokoła,

*) Tak nazywają poziome chaty kozackie i strażnicze szałaszy, z których dym, nie mając oddzielnego dla siebie otworu, wychodzi całą powierzchnią słomą krytego dachu. P. W.

Na szumie wichru przemknął się przez knieje;
Już pod bajrakiem i już hasło daje.

12.

Poznała hasło kozacza drużyna,
W gęstwie bajraku dotychczas drzemiąca.
Lekkie gwizdnienie biegać w krąg poczyną
I ciszę zmroku powoli zamąca,
Ale nie głośniej, jak szum między drzewy,
Gdy wstaje chmura nawalnej ulewy.
Prędko, spokojnie wszystko się odbywa:
Bo i pochodu młodzież niecierpliwa
I atamana rozkaz wykonywa.
Nie śmie złowiony koń zadzwonić w pęta;
Nie śmie stal brząknąć do boku przypięta;
Natrętna innym, gałązka przydrożna
Kozaczrej czapki nie dotknie, ostrożna.
A z jaką ciszą do broni się brali,
Z taką, już zbrojni, z lasu wyjechali.
Czekał ataman, kołpakiem omglony;
Pod atamanem kopał ziemię wrony.
Dał znak, młodocy obwiedli go kołem,
Podniósł kołpaka, powiódł śmiałem czołem:
„Panowie bracia, czas nam ruszyć dalej!
Droga daleka, gwiazda się już pali,
A zamek czeka z łóżkiem i wieczerzą!
Więc z Bogiem naprzód! niech koń w pęcie dłużej,
A noże we rdzy niech dłużej nie leżą.
Szlak wiemy dobrze, choć się niebo chmurzy“.

A nie chcąc dłużej rozwlekać się słowy,
Pokazał ręką na ogień zamkowy;
Świsnął: i wprzód się wysunął, aż miło,
A wojsku chęci we dwoje przybyło.

13.

Niezbyt daleko jeszcze odjechali,
I widać jeszcze przez mroku zasłone,
Gdy śpiew się ozwał w międzyleśnej dali.
Zwrócono oczy i uszy w tę stronę:
Pieśni znajome, ich słowa złożone.
Patrzą ciekawi, co się dalej stanie,
Patrzą do lasu; ucichło śpiewanie,
Aż i dwóch jezdnych, szłapiąc wolnym krokiem,
Zamajaczyło między szarym zmrokiem.
Ile w ciemności dopatrzyć się można,
Kozaczą burką opięci się zdają
I długie piki, zda się, w rękę mają.
Ale we wszystkim trzeba iść z ostrożną:
Na znak Nebaby czterech wyskoczyło,
Rozpoznać z blizka, coby to tam było.

14.

Już powrócili; dobrze się sprawiono;
„To niedobitki, ojczy atamanie!
Wielkie przy Mosznuach było krwi rozlanie;
Tabor tam naszych ze szczętem zniesiono.
A tym dwom jakoś to trzciny Irdynia,
To okoliczna pomogła pustynia,
Że się wymknęli, upatrzawszy porę;

Ale ich serce i dziś na bój gore.
I gdyby można, toby jeszcze radzi
Tu pohulali. A więc z dobrej chęci
Proszą, by u nas mogli być przyjęci.
Nam się też zdaje, że to nie zawadzi.
Przyjm ich, prosimy, do swojej czeladzi".
Coś pomyślawszy, zezwolił wódz na to:
Bo dwóch nareszcie ni zyskiem, ni stratą.
Kozacy, radzi z nowych towarzyszy,
Ruszyli dalej w porządku i ciszy.

15.

Wieczór gęściejsze rozsiewa tumany,
Brudniejszym niebo obłokiem zaciemia,
Z ciemniejszym niebem zasepia się ziemia;
Toczą się szlakiem obłędu bałwany.
Chropawym torem, w ślepiącej ciemnocie,
Oreżny orszak bacznie się posuwa;
Daleki ogień, co na przodzie czuwa,
Dodaje bodźca wojennej ochocie.
To na zamkowej wieży się paliło;
Kochankom wojny tak go widzieć miło,
Jakby się w oko dziewczyny patrzyli,
Gdy je nadzieja rozkoszy umili.
I dalej hufcem ściśnionym stąpali,
Ciągłe milczenie zachowując dzikie,
Nadzieję mordu mając za muzykę,
Za wtór stęk ziemi i brząkanie stali.
Cóż się tam dzieje z myślami Nebaby

Teraz, gdy zemsty dostępuje szczytu?
Musi mu jaśnieć wszystkimi powaby:
Teraz to musi w rozkoszy zachwytu...
Ej, ile można miarkować po czole,
Po dosłyszaniem zazgrzytaniu szczęki,
Znośniejsze serca zdradzonego bole,
Gdyby się pojał, niż te zemsty wdzięki.
Czegożby marzył po tryumfach noża
O błędnem życiu w stepach Zaporoża?
I czegoż w myśli tak brnąć, że pomału
Jakby w sen zapadł, jakby w śnie się rzucił,
Gdy pistoletu wystrzał go ocucił.
„Kto tam wystrzelił?“ wnet groźnie zawoła.
Pilnie patrzano po sobie dokoła;
To aż w ostatnich szeregach oddziału.
— „Droga tak ciemna, koń się potknął w chodzie.
Przekłęty kurek źle trzyma na zwodzie,
Aby go dotknąć, to zaraz i pryśnie“.
— „Niechajno każdy pistoletu strzeże!
Bo czy umyślnie, czy to nie umyślnie,
Raz ja ostatni w ten przypadek wierzę!
Nie przetrze oczu, jak plunę któremu!
Hej, kto wie drogę, niech jedzie przed nami!
Wy, z bystrem okiem, biegnijcie stronami;
A tył oddziału wręczam pod straż temu.
Wróg — bodaj mara; a wystrzał przestroga“.
— „Pozwól się prosić, ojcze atamanie“.
Pohwycił kozak, co w tej chwili stanie:
„Każda mi znana pod Kaniowem droga;

Nie jedno wiozłem tu listy, a wprzód
Nie raz tu, nie dwa wypasałem trzody.
Wybierz mi oczy, jeszcze i w tę chwilę,
Na krzyż przysięgam, że na krok nie zmylę“.
— „Zanadto mowy; lecz kiedyś ochoczy,
Więc prowadź. Zawsze ku temu ogniowi;
To nam gospoda“. Tak Nebaba powie.
A zwinny kozak przed wszystkich wyskoczy:
Westchnie, — przez piersi święty krzyż położy;
A za nim reszta; — i dalej, w czas boży!

16.

Ciemnymi szlaki wywijając kręto,
Nad jar głęboki przerznął się Nebaba.
A już i jasność miesięczna, choć słaba,
Biła ze wschodu w chmurę nasuniętą,
I widzieć w cieniach wyraźniej zaczęto,
Gęstemi trzciny szeleści jar na dnie;
Woda gdzieniegdzie drzemie wśród bagniska,
Chwilkę jaśniejszem zwierciadłem zabłyska,
Gdy drobna gwiazda z za chmur się wykradnie
I w srebrnych iskrach na jej marszczki padnie.
— „Patrzcie-no! co to tem wzgórzem ciemnieje?“
— „To powyż jaru podnoszą się lasy“.
— „Lasy w tych stronach, a ja znam te strony.
Może... słyszycie ten szum przytłumiony?“
— „To aż za Dnieprem biesiadują knieje“.
— „Nie, bracia: kłamstwo! to coś jak hałas“.
Ale gdzież kozak, co przed atamanem

Po błędnej drodze jego hufiec wodził?
Czy w czarodziejskiem kole się ogrodził?
Cy jak widziadło rozwiął się tumanem?
Byłże to Polak, przykryty kołpakiem,
By nieostrożnych naprowadzić w siatki?
Badał i lubo śród przykrej zagadki
Dreszcz, co oziębia, przebiegał po ciele,
Żadnym nie zdradził podejrzenia znakiem;
Tylko zawołał na swoich i śmieie
Puścił się z góry, jak gdyby skrzydlaty.
Podwójny wystrzał błysnął, zagrzemiał w tyle
I jęk śmiertelny ozwał się za chwilę.
„Stój, atamanie!“ Leci jeden z czaty.
„Zdrada od Lachów! Już nasz jeden zginął;
Ledwie dał hasło, pod koniem się zwinął;
Takim go smaczny przywitał nabojem
Czart zaczajony w kudły naszej burki;
A teraz z wojskiem połączył się swoim,
Co już nam odwód przecięło na wzgórki.
Słyszysz, czy widzisz, co się to zaczyna?“
Zaledwie skończył zły wieści posłaniec,
Kozacy na dół runęli nawałą,
Aż zastękała w dnie jaru głębina;
A z góry chmurą gromami nabrzmiała,
Zwolna bagnetów następował szaniec,
Wpół chmurny księżyc pozierał nieśmiało:
Rzęsne się błyski sypały z oręża;
A szyk doborny, koń w konia, mąż w męża,
W nieprzełamanym i niemym szeregu,

Sunął po jarów górującym brzegu.
Tylko szeleści sztandar rozwinięty,
Jak gdyby szeptał już naprzód pacierze
Po duszach, które śmierć za chwilę zbierze,
A czasem trąbka wrzaśnie w przykre tony.

17.

Jak ta na wstępie zaburzonej fali,
Co przez dniewne porohy się wali,
Skała wśród szumu stoi niezachwiana,
Tak się wydaje postać atamana,
Kiedy zepchnięte nieprzyjaciół siłą,
Wojsko się jego dokoła stłoczyło:
„Stójcie!” zakrzyczał, „podstęp nie wygrana.
Prawda, że wrogi stoją nam na tyle,
A dla nas przykre co nie w zamku chwile,
Lecz tu potrzebne choć bitwy udanie.
I ani mogę wątpić o zwycięstwie!
Znać nie ufają ni w sile, ni w męstwie,
Gdy tu, w tej porze, godzą na spotkanie.
Niechajże z tyłu gotuje nam tamy,
A my na górę przed siebie ruszamy.
Ciemna noc równie obu wojskom sprzyja,
Dalej na góry, gdzie przeprawa czyja!”
Już się wypuścił: aż tu jednym razem
Burzą wojenną powietrze zawrzało;
Ryknęło w trąby, brząknęło żelazem,
Blade się łuno po nocy rozlało
I gradem śmierci w okrąg zaświstało.

Spojrzał Nebaba i wstrzymał się w biegu.
Tak go gwałtownie objęło zdziwienie;
Polacy stoją na oboim brzegu
I ślą ku niemu ogień bez przestanku:
A on się widzi w płomienistym wianku.
„Zdajcie się, zdajcie! kornym przebaczenie!“
Na wszystkie głosy Polacy wrzasnęli.
Patrzą po sobie Kozacy zdumieli.
Lecz wódz nie daje do myślenia chwili,
Więc ich przykładem i mową posili:
„Nic to, nic, bracia! damy ład wszystkiemu,
Zaraz tu wszystkich popędzimy w bagno.
W sercach im zatknąć broń, której tak pragną,
Nic to, nic, bracia: huknijcie po swemu!“

18.

Czy duch, co lubi wspierać ludzi zbrodnie,
Śród nocy, piekła, podniósł im pochodnię
I do ich serca zagrał swą muzyką,
Że takie grzmoty ryknęły tak dziko,
A na świat ciemny, na sklep nieba cały,
Tak niezwyčajne błyski się rozlały?
Grobowa cichość nastała po wrzawie
I oba wojska, w posągów postawie,
Z bezwładną ręką, opuściwszy bronie,
Oczy ku jednej obrócili stronie,
Jakby na karku nikogo nie mieli
I wkrótce dziwniej, niż wprzód huknęli.

19.

Jakaż nagłego postrachu przyczyna?
Była to właśnie okropna godzina,
Kiedy wpadł Szwaczka na zamek dobyty,
A pożar zaczął trawić jego szczyty.
Z jaką radością przyjmie konający
Cudem odkrytą zbawienia nadzieję,
Z taką Nebaby wojsko wieść przyjęło,
Że ich pożarem zamek już goreje.
„Ot i przypadek sprzyja nam niechcący!
Teraz się szczerze weźmijcie za dzieło.
Niebo, młodcy, niebo nam pomaga!
Jeszcze godzina i stała odwaga,
A na złość liczbie wyjdziemy zwycięsko!
Patrzcie, jak jedną strwożeni już klęską!
Hej, dwóch najżwawszych na lepszych rumakach
Skoro staniemy na tym góry grzbiecie,
Pokłon do zamku od nas poniesiecie,
Niechaj tam pomną o braciach kozakach!
A teraz, kiedy Lach się trzyma słabo,
Dalej, młodcy, dalej za Nebabą!“
I poszli wszyscy na miecze, na spiże,
I znikli w walki zakręceny wirze.

20.

Jak gdyby oko zagniewane boże
Całkiem w płynący ogień się stopiło,
Z taką wściekłością, z tak rosnącą siłą
Wrzało nad zamkiem płomieniste morze.

Pożar w podziemne zakradłszy się lochy,
Buchał, jak z paszczy, kłębami brudnymi;
W skrytych podkopach zapalone prochy,
Jak grom więziony darły wnętrza ziemi.
Leżały wieże, czarne ziejąc dymy,
Jak obalone piekielne olbrzymy;
Jak przekłętego Lucyfera skronie,
Pały dachy w ognistej koronie.
A echo piekieł, umarłych jęczenia,
A głązy siłą ciskane płomienia,
Tańcem i pieśnią tej uczty zniszczenia.

Wiadomość z razu głucho się roznosi,
Coraz głośniejszym rozlega się gwarem:
Nebaba walczy nad pobliskim jarem
I przez posłańców o posiłek prosi.

— „Kto wasz wódz?” — „Szwaczka”. — „Gdzie
[jest?” — „Na zabawce,
Przywodzi godne swej woli oprawce”.

Tam, tam, gdzie słyhać pośród murów rumu
Razem przekleństwa i śmiechu hałasy,
Szwaczka na czele rozjadłego tłumu,
Z uporem w rdzawe szturmuje zawiasy.
Jedna tam słaba kobieta się tai.
Już najmocniejsi, jacy są w tej zgrai,
Popróbowali swoich barków siły
I z wściekłym wstydem wracali od pracy.
Aż Szwaczka krzyknął: „Oto mi kozacy!
A was by gnuśnych baby wydusiły!
Jeszczeż-no plecy naprężą się stare,

Bo chcę serdecznie ścisnąć tę maszkarę.
Ale panowie młodecy, za karę
Nikt jej przedemną dotknąć się nie waży!⁴
Wtem kark barczysty z pod burki odsłoni,
Podsadzi ramię, razem drzwi podważy;
Drzewo zazgrzyta, żelazo zadzwoni:
Przejdźcie swobodnie: już wpadną! już po niej!
— „Giniecie, bracia! ratuj się kto umie!
Okrzyk przestachu rozlega się w tłumie!
I wewnątrz zamku zawyło przestachem.
Prysnęły główne, płomienie buchnęły,
Wstrzęsło ścianami, zaskrzypiało dachem,
I dach przetlany runął między ściany.
Jeszcze okrzyki skonania wrzasnęły,
Prysnęły główne, dymy wybuchnęły,
Wirem się wzniosły ogniste bałwany,
Chwila — i wszystko milczy pod pożogą;
Przetlona głównia cicho dogorywa,
Cicho dym wstaje, płomień się dobywa,
Jakby tam nigdy nie było nikogo!

21.

A w gardle jaru jak wrzały tak wrzały
Dźwięczące cięcia, ryczące wystrzały
I zgietku męży wyjąca muzyka.
Niejeden jeździec zwinął się bez głowy,
Niejeden leżał pod ciężarem konia,
Niejedna z ostrzem rozstała się pika,
Niejeden w bryzgi poszedł miecz stalowy, —

Nim przepelniwszy bagniste parowy,
Powódź się wojny rozlała na błonia.
I któż jest w sile, z żyjących na ziemi,
Ogarnąć pięciu zmysłami słabemi
Ten taniec mordu, jaki wyprawiły
Wszystkie uczucia, wszystkie człeka siły,
W jedno uczucie, w rozpacz przerodzone?
Dzięki połyskom, co z pożaru biją,
Że czasem nocy uchylą zasłonę!
Większe ciemnościom, że je znów zakryją!
Noc to okropna, noc to piekiel była;
Starzy z powieści prawią o niej siła.
Gdyby nam dzisiaj taka się przyśniła,
Miękkie sny nasze na długoby struła. —
Jedna jej tylko istota nie czuła.

22.

Gdzie wzgórek strzela na szczyty czaharu,
Do omglonego podobna widziadła,
Nad sceną wojny spokojnie usiadła.
Albo to dziecię śmierci i pożaru,
Albo zbieg będzie ze krwi i płomienia:
Jaśnie w tem świadczą skrwawione łachmany,
Skroń rozraniona i włos rozczochrany.
A że ustawnie podnoszą westchnienia
Tę dłoń, co mocno przyciska do łona,
Musi być biegiem gwałtownym zmęczona;
Pewnie strwożonej grozi losów cisza,
Lub swej niedoli śledzi towarzysza,

Bo tak ciekawie poziera do koła.
„Hop-hop, Nebabo“. Opętanej słowa!
A w głębi lasu odhuknęła sowa:
I wilk jej wyciem napowrót odwoła,
Że zrozumiana, jakby z tego rada,
Dziwacznie suknię i włosy nklada.
I wzrok utkwivszy w bitwę, co na przedzie,
Dziwny śpiew tonem dziwniejszym zawiedzie.
Nie ludzkim uszom, śpiew piekła znajomy,
Rosnące w jarze zgłuszyły go gromy;
Za echo, wojny ozwało się wycie.
Czekaj na gwiazdy kochanej przybycie!
To nie armaty ogniem śmierci błysły, —
To twój kochanek rozsiał swe promienie;
A to nie kule śmiercią obok świsły,
To było znane miłego gwizdnienie:
Oto i on sam, cały z ognia płynie
W tej chmurze dymu, co mroczy pustynie.

23.

Ostatnim rykiem, ostatnim płomieniem
Buchnął jar, wreszcie, z rozdartej paszczyki;
Otchłań bezdenna nieskończonej męki,
Dusz potępionych syta złorzeczeniem
Nie straszniej ryknie przed świata zniszczeniem.
Łuno pożaru, strzelby błyskawica,
Co ten ofiarny dyabłom stos podnieca,
Blaskiem południa jaśnieje tu prawie;
Ale w tym zmęcie, w tej dymu kurzawie,

Nie można widzieć, kto z Lachów, kto z Rusi;
Tylko jednego poznać każdy musi.
Gdzie kilku razem w śmierci bolach jęczy;
Tam atamana żelazo połyska;
Gdzie prze koń jeden, a szereg, jak fała,
Cofa się w kręgu płynących obręczy, —
Tam atamana wrony koń się ciska.
Błyskami wojny cięcia swe zapala;
Gromami wojny wszystkie zbiega strony!
Zda się, że każdą kroplą krwi toczonej,
Co mu dłoń poi pałasz ubroczony,
Serce rozjusza i szablę nastala.
Ale dłoń jedna, i jedna odwaga
Nic nie stanowi, albo mało znaczy,
Tam gdzie za mnóstwem przechyła się waga;
Cała tam korzyść, śmierć z chlubnej rozpaczy.
Z dosyć szczupłego Nebaby oddziału,
Jeden za drugim ubywa pomału...
Choć, przy niewoli co u Lachów czeka,
Sama śmierć widna, jest jeszcze powabną,
Z boleścią jednak postrzegł on zdaleka,
Jak szyki jego w nacieraniu słabną.
I wzrok mu zaćmił jakiś zamiar dziki,
I wnet radości błysnął promieniami;
„Krzepcie się, bracia!“ woła; leci w szyki,
Bóg pomoc niesie, zwycięstwo za nami!
Patrzcie, to nasi! jak, podobni chmurze,
Patrzcie przed pożar, suną się po górze.“

Buchnęła walka, zagaśnienia blizka,
I serca znowu mordem zakipiały.

24.

Zadrżał ataman. Cóż-to za zuchwały
Natrętną szablą przed oczy mu błyska?
Dwa razy natarł, dwa razy odskoczył,
Dwa razy koniem w około zatoczył,
Upatrzył porę, spuścił szablę razem,
I z atamana spotkał się żelazem.
Ostrze na ostrzu zaiskrzy, zadzwoni,
Żołnierz wkrąg strzeli okiem zadziwionem:
Aż szabla gwiazdy błysnęła ogonem,
I gdzieś daleko świsnęła mu z dłoni.
Najlepsza tutaj porada przestachu!
W pole przed siebie puścił się z kopyta.
„Zmykaj, nie zmykaj, mój ty śmiały Lachu!
I kary także o drogę nie pyta.
Jeszcze się żaden przed nim nie wysunął!
I wiatry w tyle zostawia koń wrony,
A błyskawice, pałasz wyniesiony.
Gdyby w biednego żołnierza tak runął...
I on nie taki trwożny, jak się zdało:
Na jednym miejscu zwinął koniem śmiało.
Może on nie chce śmierci przyjąć w plecy?
Bo skąd że tutaj nadzieja pomocy?
Od reszty swoich oba tak dalecy.
Jakiś tu zamiar pokrywa cień nocy.
Lotem spojrzenia ataman dobiega;

Gwizdnieniem szabli wpół rozdmuchnie Lacha,
Trzasnął grom skryty, — zajęczała płacha,*)
I po powietrzu tysiącem drzazg miga.
Lach dalej świsnął: a koń atamana
Aż ziemię zapruł kutemi kopyty:
Tak lejc go zerwał, i stanął jak wryty.
A twarz Nebaby jakby jedna rana,
Tak ją strzał opluł i szabla strzaskana.
A krew kroplista, płynąca zasłona,
Zbroczyła czoło, opada na łono,
Leje się w usta, przepływa przez oczy,
Gasi spojrzenia, oddechy tamuje. —
Darmo trze oczy, darmo usty pluje,
Rumiane źródło falami się toczy.
Darmo dłoń kala, darmo suknie broczy:
To krew niewinnych, nie jej nie shamuje!
Co przetrze oczy, co ustami splunie,
Krwawa zasłona znowu się zasunie:
Potępionego prawdziwa męczarnia!
A tu Polaków okrzyk się rozlewa:
„Nasza wygrana! posiłek przybywa!“
Teraz już całkiem wściekłość go ogarnia:
Opuścił ręce, schylił nadół skronie, —
Jakby śmierć sama, mrozem swych pieszczeli,
Przygłaskiwała do wiecznej pościeli.

25.

— „To on, on-to sam!“ w dobrze znanym tonie,
Cichy się głoszek odezwał na stronie,

*) Klinga, lama.

A wyraźniejszy, gdy się zbliży trocha:

„Przyszedł popieścić... On mię zawsze kocha.“

— „Czy i ty!...“ krzyknął, nie mógł skończyć mowy,

Krew mu ustawnie zalewała usta,

Przerywanemi tylko jąkał słowa,

Gdzie się zdradzało zimnej krwi udanie

I niewstrzymanej złości obłąkanie:

„Dyable!... kocham cię!... Ta krew... Kseniu..

[chusta...

Zsadź mię... przekłeta!... Daj rękę... o droga!...

Gdzie serce!... dyable!... gdzie serce, kochanie!“

I na bełkocie skończył mowę całą.

Jak ostrze noża przykro zaskrzypiało!...

I jęk śmiertelny wydała przebita.

Liczne w około zagrzmiały kopyta:

Otoczyli go polskie wojownicy.

Poddaj się, poddaj! nie pora do piki,

Już marsz zwycięski muzyka uderza.

Omdlały kozak, z uczuć zaburzenia,

Z przewlekłej walki, ze krwi upłynienia,

Upadł na ręce pierwszego żołnierza.

26.

Nastąpi cisza, po hałasie wojny;

Spokojne polał zamek już spokojny;

A niedotlanym ogniem oświecony

Prosi przechodniów z każdej świata strony.

Uprzejmie kraki gęstemi gromady

Krążąc w około, wabią do biesiady.

Pobojowiska radzi godownicy,
Wilcy tłumami ciągną z okolicy.
Zniszczenie nawet, co już w zupełności
Swe panowanie nad zamkiem rozszerza,
Tyle przestrzega bezpieczeństwa gości,
Z takim te gody sprawia uciszeniem,
Że można słyszeć przelot nietoperza;
Chyba że zechce przyświecić płomieniem,
To buchnie w żary przetłanym kamieniem.

27.

Przecie Nebaba żywo wyszedł z boju
I łakomego brzydkiej śmierci garła;
A choć mu rana do dna pierś rozdarła,
I w niej krew czarna kipi jak we zdroju,
I choć posoką umalował skronie,
I wzrok w strumieniu dymiącym się tonie, —
Widać po jego spokojnej postawie,
Że odpoczywa po wojennej wrzawie.
Albo też jeszcze i dotąd męczony
Zuchwalstwem rządcy i Orliki zdradą,
Zboczył, wędrując pomimo tej strony,
By się nacieszyć obmierzłych zagładą.
W tymże kołpaku, w odzieży tej samej,
Szczerniałej trochę pod krwawemi plamy,
Siedział na złomkach wpół-zgorzałej bramy,
I swoją pikę trzymał na sztych w ręce,
Jakby miał blizkie odeprzeć natarcie.
A w okrag niego doborni młodzieńce:

Jedni, jak gdyby stanęli na warcie
Podnieśli piki nad zgorzałą wieżą:
Tylko cierpliwi, że się ani ruszą,
Choć płomień zewsząd dogryza im srogo!
A drudzy, w kole gardłem flaszę mierzą
Tylko że nigdy dopić ich nie mogą.
Inni znów, bardziej snem zmorzeni, leżą,
Tylko że wiecznie tym snem leżeć muszą...
Musi on całą nasycać się duszą,
Że tak bezwładny, wpatrzył się przed siebie;
Pewnie on w cieniach pamiątek się grzebie.
Tu każde miejsce tyle przypomina!
Gdzie w stosach żaru, kurzy się perzyna,
Ten plac, bywało, uwieńczały spisy,
Kiedy swą młodzież zebrał na popisy.
Miejsce, gdzie trup ten mordem oszpecony,
Ostatkiem czucia, życia drga ostatkiem,
Gdy mu natrętne zazierają wrony, —
Miejsce to uciech nieraz było świadkiem:
Tu szkło dzwoniło, tu grzmiały okrzyki;
Za czyjeż zdrowie? Nebaby! Orliki!
Mściwego samo udręcza wspomnienie.
Aż z pod wnętrzości wydobył jęknięcie —
Zemsty czy śmierci? w tem odgadnąć trudno.
Gdzie zwrócił ucho, by dosłyszeć wtóru
Co może przypaść do jego czuć chóru, —
Tu raz ostatni pieścił się z obłudną;
A dziś, o trupią skłóciwszy się głowę,
Dwa wilki wycia zawiodły grobowe.

Czegoż te ptaki uderzając w skrzydło,
I gniewnie kracząc, grzebią wśród popiołu?
Strawa zapewne warta ich mozołu,
Bo wygrzebali: człowiek czy straszyszło?
Szczerniały w ogniu, wpół-spieczone ciało:
Ale Nebabie rozpoznać się dało!
Nagle ku ziemi czoło mu opadło,
I jeszcze naglej wzniosło się do góry.
„Hop-hop, Nebabo!“ zawył głos ponury,
I, z pośród ognia, wypęłza widziadło.
A choć nie wrzeszczy szalonym chychotem,
Chociaż ją taniec nie zakręca chyży.
Bo jej wnętrzości ciążą wpół-wysnute:
I teraz jednak, gdzie się tylko zbliży,
Płasają iskry wichru kołowrotem.
Wilki przy trupach wyją na jej nutę,
I samo trupów oblicze się zmienia.
„Wody! ach, wody!“ popatrzyła Ksenia;
Głos jej znajomy i kochanka oko
Na jej się wdzięki rozwarło szeroko:
Jakby wgłąb Kseni pragnęło utonąć,
Albo ją w piekło i siebie pochłonać.
Ksenia się zbliża, z mniejszą coraz trwogą,
Oko Nebaby patrzy już mniej srogo;
Już łono z łonem, już z icipami lica,
Już się i wargą z wargą napotyka...
Pocałowała Nebabę dyablica...
Teraz do reszty rozporze ją pika!
Nie; cicho siedzi: tylko mu dreszcz mały

Wypreżył członki, a źrenice zawsze,
Zawsze patrzyły, patrzeć nie przestały,
Dla Kseni nawet coraz już łaskawsze.

28.

Na rozburzonym Kaniowa zamczysku,
Długo podróżnym broniący przystępu,
Długo ponęta drapieżnemu sępu.
Szkielet Nebaby lśnił w grobowym błysku;
Jak straż zakłęta w pomieszkaniu mary,
Jak mowny pomnik barbarzyńskiej kary
Ogień, co wszystko dokoła potrawił,
Z młodców jego śladu nie zostawił;
Poznana tylko z rany i odzienia,
Szalona Ksenia leżała na trawie,
Jeszcze w modlącej przed lubym postawie,
A, w strasznej nocy zamku podpalenia,
I topielnicy skończyły się pienia.

29.

Gdy duch mój zwiedzał Dnieprowe pobraże,
I na Kaniowa odpoczął ruderze,
Jeszcze tam w koło wyszukał on ślady
Dnia okropnego ostatniej zagłady:
Jeszcze, po ścianach, krew się czerwieniła,
Gdzie żona, gnana morderców pogonią,
Mytą w krwi męża chwytala się dłonią;
Żadna wywabić nie mogła jej siła,
Na miejscu startej inna wystąpiła:

Ale nieszczęsne zabójczynie ciało
W popiół przetlałe, z wiatrem się rozwiało.
W porosłej miękką murawą uboczy
Trafił na kołtun kseninych warkoczy.
Ale w nim drobny gnieździł się już ptaszek.
Obok leżała z Nebaby ratyszczą
Stal, od płomienia w ciemny żużel zlana.
A, błędząc długo wśród skostniałych czaszek,
Odgrzebał torban, między gruzem zgliszcza,
I jedną strunę z całego torbana.
Ani lat, ani pogody koleje
Nie mogły przyćmić złotego jej blasku;
A wiatr, kochanek, z poblizkiego lasku,
Co noc z nią dawne odśpiewywał dzieje.
I jam polubił chrypliwe jej tony
I, z jej dźwiękami z czasem oswojony,
Gdym nieraz badał pilnie i ciekawie
O całej zamku kaniowskiego sprawie,
W końcu rozwikłać mogłem tajemnicę:
Co dało powód do zbrodni Orlice?

Gdy w ciemnej nocy przez widmy czy czarty,
Czy jak wieść była, za rządcy namową,
Zdjęto wisielca, (odpowiadał głową,
Z pod czyjej trupa uwieziono warty),
Brat tej dziewczyny był wtedy na straży:
A serce rządcy do Orliki biło.
Życie jej brata w ręku rządcy było:
Lach, nie puszczając pory co się darzy,
Hardej dziewczynie daje do wyboru

Tytuł swej żony lub srogą śmierć brata;
Żadnej przewłoki, żadnego oporu!
Biedne małżeństwo, gdzie dyabeł za swata!
I tak, dla brata, miłość poświęciła.
Rządcy małżeńską zaprzysięgła wiarę;
A dla miłości inną ma ofiarę:
Zabiła męża i siebie zgubiła'

30

Mijają lata, z latami zdarzenia
W ostatnim dymie zgasłego płomienia
Wróciły w piekło szatany zniszczenia.
Świetnie przejrzały nieba Ukrainy,
Zabrzmiała śmiało cicha pieśń dziewczyny,
Czas lasem okrył ostatki ruiny.
Gdzie bojowiska czaszkami bieleły,
Ulewna burza brózd tam zorywa,
W skwarny dzień lata złocą się tam żniwa,
Kwiat się tam, z wiosną, wykluwa nieśmiały,
Złomki szubienic świecą próchnem z ziemi.
Nad zwycięzcami, nad zwyciężonemi,
Trawą usłana mogiła zapada:
Tam błędny żebrak do snu pacierz gada.
Piekła za wojnę zatrzaśnięto bramę.
Znów tenże pokój, i zbrodnie te same — !

Przypisy.

Str. 14 w 1. W powstaniu na Ukrainie w r. 1768. zamek kaniowski, również jak kilka innych w tej okolicy, był zburzonym i spalonym przez hajdamaków. Jest podanie, iż żona rządcy czyli jak wtenczas nazywano, gubernatora zamkowego, pojmana przez kozaków, i już ranna, patrafiła się jeszcze im wymknąć, a uciekając, przed ich pogonią, po pokojach i wałach zamkowych, co raz słabsza, opierała się o ściany, póki jej nie dognano i nie zamordowano do reszty. Gdzie tylko dotknęła się ścian ręką skrwawioną, zostały ślady; i mówią, że krwawe te znaki nigdy się nie dały zatrzeć, i trwały dopóty, dopóki tylko były jakie szczątki murów zamkowych. Te, zresztą, gruzy dopiero przed kilku laty znikły zupełnie. --- Kaniów jest małe i liche miasteczko, mieszczanie jednak jego i magistrat mają jeszcze niektóre swobody i przywileje, nadane im od królów polskich. Leży w prześlicznem położeniu nad Dnieprem, rozrzucone pośród urwistych brzegów jego.

Str. 17. w. 14. Rozmowa puszczyków, jak i cała myśl prologu, jest osnuta na wyobrażeniu gminu: iż dyabli wybierają noce ciemne i burzliwe do wyprawiania swych pustot, i że puszczyki dla tego się śmieją, iż widzą wszystkie harce i dokazywania tych istot, które nasza mitologia gminna wpół-strasznemi, wpół-komicznemi wystawia. Prócz poetyczności pomysłu, autor miał i tę pobudkę wprowadzić rozmowę

puszczyków w swój czarodziejski prolog, że takowe pożyczania mowy ptakom często się natrafia w pieśniach i dumach ukraińskich, a właśnie jego zamiarem było korzystać ze wszystkich skarbów gminnej poezji naszej.

Str. 25. w. 8. Są to wszystko wyobrażenia ukraińskiego ludu. Według mniemań jego, wiatr kręcący się po polu, który wreszcie po tutejszych nieobejrzanych płaszczyznach, nie rzadko widzieć, jest coś niezmiernie złego. Opowiadają przykłady ludzi, których wichur ten spotkał na swojej drodze i którzy odtąd nie wiedzieć gdzie zniknęli. Innym razem, nóż poświęcony rzucony w słup kręcącego się wichru upadł na ziemię w tem miejscu krwią obryzany. Do tego wyobrażenia stosuje się wiersz w „Maryi” Malczewskiego:

„*Ale że czart na stepie tumany wyprawiał.*”
Spadająca gwiazda jest, podług ich mniemania, latawiec (rodzaj powietrznego złego ducha). O jego miłostkach z kobietami często posłyszeć można. Myślą także, iż zmarłe bez chrztu dzieci błakają się w powietrzu, jęcząc i narzekając, póki kto nie ośmieli się ich przywołać i chrztu udzielić.

Str. 25. w. 18. Wprowadzona tu osoba toplelnicy Kseni jest także myśl pojęta w duchu miejscowych wierzeń i uprzedzeń. Nic się w Ukrainie ważnego nie stanie czegoby nie przepowiedziało nadzwyczajne zjawisko — coś dziwnego coś tajemniczego. Bunt ukraiński, który tu nazywają *koliszczyzną* i szczególniejszą rzecz humanśką (o której nawiasem wspomniemy, są współczesne i przez świadków pisane poemata i opisy, zapewne nędzne pod względem sztuki, lecz ważne jako najwierniejszy obraz tej krwawej dramy) miała także być zwiastowaną przez nadprzyrodzone widzenia: między innymi, przez dziwną obłąkaną kobietę, czy opętaną, która, z hukami i nierozumiałą mową,

przebiegała siola Ukrainy. Nie mam ja tu myśli tłumaczyć albo usprawiedliwiać pojęcia autora; zwracam tylko uwagę na miejscowy koloryt obrazu.

Str. 41. w. 5. Mikołaj Potocki, banita, starosta kaniowski i bohusławski. Jest-to jedna z osób żyjących w podaniach gminu. Jego życie, bezprawia, później pokutę opowiadają w tysiącznych szczegółach. Są pieśni o nim, o jego miłostkach i okrucieństwach. Jeszcze teraz można znaleźć starców, którzy go znali osobiście; a powieść ich lubo nie w tak dalekie przenosi się czasy, ale w jakże dalekie od nas obyczaje i zdarzenia!

Starosta kaniowski leży w Poczajowie, i jego ciało pokazują, ze szczególną attencją, miejscowi księża Bazylianie. On-to w skutek pokuty za nabrojone w Ukrainie sprawki pyszny ten klasztor wydzwignął i nadał.

Str. 59. w. 13. Wojewoda Stempkowski poskromił bunt ukraiński. Trzeba wyznać, że kary nie ustępowały w srogości zbrodniom przestępców; one rozjątrzyły jeszcze bardziej niż przestraszyły lud ukraiński.

Str. 79. w. 13. Jest-to szczegół dochowany tradycją. Podczas ciągłych nabiegów tatarskich, kiedy lud okolicy wiedział że horda w pobliżu koczuje, dla bezpieczeństwa, zostawiał jednego ze swoich na jakiej wyniosłej i panującej mogile, lub na wierzchu wysokiego dębu, aby opatrywał Tatarów, i dawał znać o zajrzanych wywieszeniem białej chorągwi lub chustki. Lud pracujący po polach, skoro zajrzał bielejące znamie popłochu, uciekał w znajome sobie kryjówki. Ukraiński telegraf.

To mi napomina drugi szczegół. Słyszałem od mieszkańców pamiętnego w naszych dziejach miasta Czehryna tak tłumaczony początek zwyczaju, powszechnego w Ukrainie, a zwłaszcza w tej okolicy, zbieranie się ludu, szczególnie chłopców i dziewcząt, na

środek sioła, który oni nazywają *ułycia*, ulica, dla śpiewania różnych pieśni, co się nieraz daleko w noc przeciąga. W czasie koczowania hordy w tych stronach, lud, wiedząc, jakie kłęski ponosi, kiedy na śpiących natrafia Tatarzy, żeby zawsze miał przytomność i gotowość chronić się w razie niebezpieczeństwa, na noc zbierał się razem i dla odpędzenia snu, śpiewał narodowe dumy i pieśni. Zwyczaj został, chociaż niebezpieczeństwo, co mu dało początek, minęło. Dalsze wiersze oddają sprawiedliwą zapłatę zasługom cieni-stych dębów Ukrainy, które, w ciągłych zaburzeniach i wojnach, zapewne, niejednemu chroniącemu się śmierci, były pewniejszą opieką, niż ściany własnego jego domu.

Str. 80. w. 9. Zwyczaj palenia ogniów w wilię św. Jana zasięga dalekiej starożytności; on się i w Ukrainie przechował. Nazywają go *kupało*. Pospolicie, kiedy dziewczęta wiejskie zaczną swój obrzęd, do którego i kąpanie się należy, młodzież płci drugiej wybiera te chwile żeby na nie niespodzianie napasć: wtedy cicha nocna scena zamienia się w najtłumniejszą; krzyki, śpiewy, rozlegają się w powietrzu. W 1826 roku autor widział podobną scenę na rzece Taśmien: tu ona się odbywa przy jednej z najpiękniejszych wód w Ukrainie. Jezioro i wieś Białozor leży blisko Smiły, w rozległych sosnowych lasach: znacznego ogromu szyba, jasna, błękitna, zwierciadlana, błyszczy wśród rozstępu siniejących lasów; wieś, prawdziwie ukraińska, ogromna, dobrze zabudowana, ludna, mająca zapewne do 2000 samych dusz męzkich, rozciąga się prawie w koło jeziora. Obraz światła rybackich na jeziorze, wspomniany w tekście, powtarza się tu każdego wieczora, i tworzy prześliczną wodną iluminację.

Str. 82 w. 3. Widok ten jest prawdziwie rysowany z natury; zaraz za miasteczkiem Moszny ciągną

się, na szerokość może trzech wiorst bagna i trzęsawiska nazywane Irdyń. Najpewniej jest to stare łożo Dniepru. Prawy brzeg tych bagien otoczony jest wysokiem pasmem gór wznoszących się piętami, rozciągniętych szeroko, i okrytych gęstym lasem. W tem miejscu, to jest na pośrednim paśmie, hrabia Wołłow, właściciel miejsca, założył pałac i zwierzyńiec, na 8 wiorst rozciągnięty po górach. Pałac otoczony jest zabudowaniami wiejskiego gospodarstwa; wszystkie proste, lecz najgustowniej urządzone: i każdy dziedziniec, ze swemi zabudowaniami, składa najpiękniejszą fermę angielską. Dziedzińce ubrane w drzewa i krzewy, mury domów w porozpinane gałęzie akacyi białej i płaczącej; schody, ganki, balustrady, — w kwiaty i różnokolorowe pachnące powoje. Lecz samo położenie piękniejszym jest nad wszystko. Z jednego punktu trochę wyżej za pałacem jest szczególny widok, prawdziwie nieogarniony. Jest to cypl jednej góry (nie najwyższej jeszcze): pod nogami masz widok pałacu i kwiecistych dziedzińców, schody gór okrytych lasem; dalej, pierwszym planem obrazu są bagna Irdynia, zarosłe oczeretem, i gdzieś tam olcha, za niemi widok miasteczka Moszen; dalej jeszcze rozciąga się Dniepr, jakby siną wstążką, — a tam, z drugiej strony, niskie, piaszczyste brzegi, wieś, miasteczka i monastery już połtawskiej gubernii. Oko ma zewsząd otwarty widok na promień siedmiu lub ośmiu mil w około.

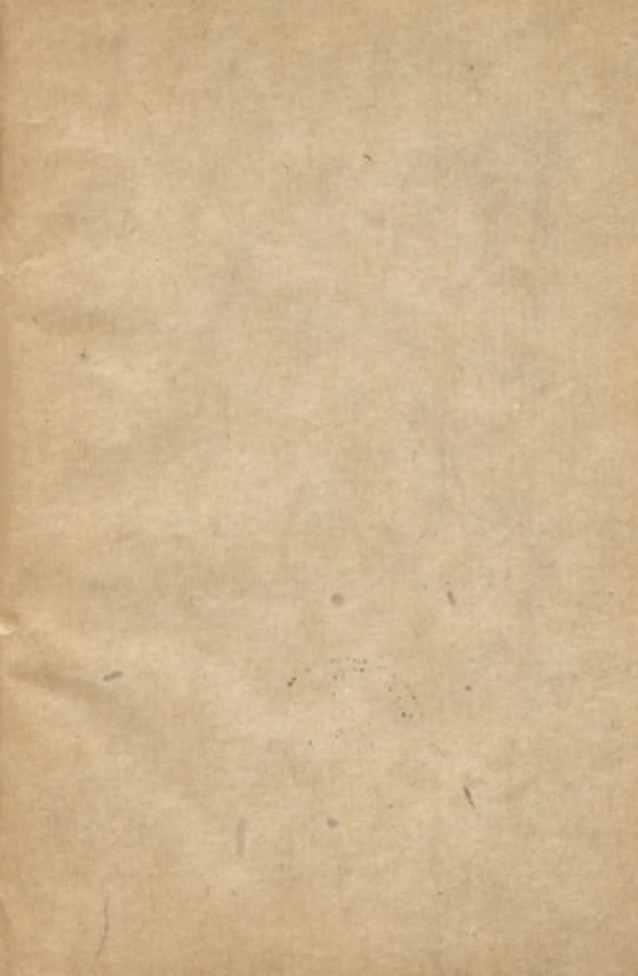
Str. 85 w. 23. W istocie wojska polskie pierwszy raz doścignęły powstańców w pobliżu Moszen, na Irdyniu. Zdarzyło się autorowi, iż będąc w tej okolicy, słyszał właśnie na miejscu opowiadanie o tem spotkaniu przez czernca, dozorcę młyna należącego do poblizkiego monasteru i naocznego świadka. Tu Irdyń nie jest tak grzazki; w suchą porę daje się przejeżdżać, w większej części zarosły olchami niepo-

spolitej wielkości, gdzieś tylko biją źródła i stoja wody. Wszędzie po lasach sosnowych od Smiły aż do Moszen, były kurzenia hajdamackie, i tradycya pokazuje te miejsca.

Tu właśnie jest miejsce powiedzieć, jak potrzeba żałować, że nie mamy ani dobrej mapy starożytnej, ani szczegółowej geografii, ani zbiorów żadnych historycznego interesu, choćby historycznej ciekawości. Uczony metropolita kijowski Eugeni za pomocą należącego do siebie duchowieństwa i odezwy do obywateli krajowych zaczął zbierać te drogie zabytki przeszłości, lecz nie wiemy, jaki skutek wezmą jego starania, zależące od osób, po większej części lub obojętnych lub nieznających ceny tych walających się w pyle ich nóg pamiątek. Dziś jeszcze za każdym krokiem napotykają się nie rozorane do szczytu mogiły, pod trawą i lasem, ostatki zameczysk połowych, i słyszeć można ciekawe o miejscowych wypadkach podania. Ale my to puszczamy mimo oka i ucha: tymczasem wiek mija, pług równa dzieło czasów minionych, pokolenie po pokoleniu wymiera; a my tracimy skarby, których nawet nie znamy wartości.

—•••1881—•••





De basins en ha systala
Panda transionaba
de Stauis d'wora

2

12
388182

21XII 8

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

130318

Biblioteka WSP Kielce



0151224